

STANISŁAWA ŁOGONOWICZ



Zawrócone chwile

Stanisława Łogonowicz

*ZAWRÓCONE
CHWILE*

Biała Podlaska 2006r.

Autorka książki składa serdeczne podziękowania instytucjom i osobom prywatnym za pomoc finansową w wydaniu książki :

- ◆ Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej
- ◆ Urząd Gminy Sosnówka
- ◆ Bank Spółdzielczy w Wisznicach
- ◆ Urząd Gminy Wisznice
- ◆ Kamińscy Lidia i Adam Kwaciarnia Wisznice



Projekt okładki – **Stanisława Łogonowicz**

Skład komputerowy – **Andrzej Kurantowicz**

* Fotografie – **Andrzej Kurantowicz**

ISBN 83-294156-8-1

Wydawca i druk: **Agencja Wydawniczo-Reklamowa**

„Arte” Biała Podlaska

tel 502 218 563

*Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska*



5 209218000009

Spis Treści

Spis Treści.....	3
Od autora.....	5
Wstęp – krótka historia dóbr Sapiehy	8
Z przeszłości Wisznia i okolic	10
Dzieciństwo Wiktorii.....	17
Odfrunęła jak anioł	19
Nowy dom i nowe nadzieje.....	20
Powrót obrazu	24
Małżeństwo Wiktorii	25
Niespodziewani goście.....	29
Krótką historią wsi Żeszczynka	33
Pierwszy kaganek oświaty 1918 - 1944.....	35
Przeżycia wojenne	42
Piotr wspominał	48
Potrafiliby zaczarować.....	51
Wspomnienia z dzieciństwa i pierwsze lata powojenne	55
Wysiedlenie ludności.....	61

Aresztowanie Piotra.....	66
Na obczyźnie.....	70
Kwitnąca jabłoń	74
Przygotowania do powrotu	77
Podróż do domu	79
Szkolne przygody	82
Nowi nauczyciele i nowe plany	84
Zajęcia domowników.....	90
Przemiany społeczno – gospodarcze w Żeszczynce	91
Perypetie miłosne.....	92
Chyba przeznaczenie	97
Bibliografia	99

Od autora

Wieś Sapiechów, której poświęcam wiele uwagi jest położona na Podlasiu w odległości piętnastu kilometrów od Bugu w stronę Sławatycz, około czterdziestu kilometrów od Włodawy i tyleż samo od Białej Podlaskiej. Zamieszkuje obecnie około osiemdziesięciu mieszkańców, którzy w większości zajmują się rolnictwem na ziemi IV i V klasy. Nazwa tej miejscowości, prawdopodobnie pochodzi od nazwiska właściciela tych posiadłości i jego prawnych potomków. Historia tych ziem sięga XVI w. kiedy to większość była nabywana przez Iwana Sapiechę. Każda udana mediacja na dworze moskiewskim była nagradzana dobrami ziemskimi przez królów polskich. Nabyte majątki stanowiły obszar ziemski, który dawały mocne podstawy gospodarcze dla jego następców.

Z najnowszych źródeł pisanych dowiadujemy się, że w 1886 r. folwark w Sapiechowie liczył 857 morgów ziemi ornej, 539 morgów ogrodów, 60 morgów łąk, 9 morgów pastwisk, 233 lasu i 16 morgów nieużytków. Były dwa budynki murowane, dwadzieścia cztery z drewna, płodozmian siedmiopolowy. Do folwarków należały: wieś Perechody¹ - 28 osób, 808 morgów, Lipinki - 31 osób i 593 morgów ziemi, Rzeszczynka² - 70 rodzin, 1216 morgów, „Folwark Sapiechów założył niegdyś Aleksander Sapieha wraz z obok położonym Aleksandrowem. Wszystkie ziemie wchodziły w skład dóbr Wisznice. Ludność wyznania greko-katolickiego, parafia Wisznice. Zapiski w kronice szkolnej w Żeszczynce przez nauczyciela Józefa Sopiepana z roku 1934 potwierdzają, że do folwarku głównego i rezydencji dworskiej w Sapiechowie należały: Perechod, Rzeszczynka, Lipinki oraz folwark na Żuławie. Właścicielami byli kolejno: Sapiehowie, później Ignacy Sosnkowski, który oddaje w dzierżawę Koryńskiemu. Po nim Dzierżawi Kryczewski. Dowiadujemy się i również, że w tym okresie cmentarz publiczny był usytuowany przy drodze, która prowadzi do głównej szosy Wisznice-Sławatycze, po lewej stronie od posiadłości Moczulskich. Tuż przy cmentarzu stała rezydencja dworska, której okna wychodziły od strony cmentarza. W tej rezydencji mieszkała matka Kryczewskiego, która z tego powodu miała nieprzyjemny widok i smutny nastrój. Wydaje rozkaz usunięcia wszystkich krzyży na cmentarzu oraz ich spalenie. Po tym

¹ Perechody – obecnie Przychód

² Rzeszczynka – tak brzmiała pisana w dawnych zapisach z 1827 roku – obecnie Żeszczynka

wydarzeniu wybuchu pożar w folwarku w Sapiechowie, który niszczy zabudowania dworskie i żywy inwentarz. Ludzie pomawiali, że to Bóg skazał za ten czyn dziedziczkę. Po niedługim czasie dziedziczka bankrutuje i odstępuje w dzierżawę panu Frankowskiemu. Dnia 30 maja 1856 roku od Ignacego Sosnkowskiego odkupuje Józef Kępiński w szacunku hipotecznym - 75 000 srebrnych rubli.

Las położony za szosą też zostaje sprzedany i potem wycięty w pień³. Do obecnej chwili te ziemie nazywają się „Pieńkami”. Obecnie tam gdzie znajdował się cmentarz rolnicy wyorują szczątki kości ludzkich⁴.

Dlatego tej małej wioseczce poświęciłam tak wiele uwagi, dlaczego wiele początkowych akcji toczy się w tej a nie w innej miejscowości? Bardzo często sama sobie zadaję takie pytania. Od dawna miałam wewnętrzną potrzebę przekazania obrazu, który od wczesnego dzieciństwa utrwalił się głęboko w mojej podświadomości. Właśnie ten obraz został kolorowo namalowany i utwalony przez moją kochaną mamę, która pochodziła z Sapiechowa. Postanowiłam opisać epizody z życia kilku pokoleń. Wszystkie problemy, opowiadania przeróżnych ciekawostek we wczesnych latach mojego życia były związane z ludźmi tam żyjącymi. Zamieszkiwała tam ludność bardzo uboga, której pradziadkowie niegdyś pracowali w folwarku należącym do Sapiehy. Na podstawie rozmów z mieszkańcami Sapiechowa dowiadujemy się, że podczas uwłaszczenia tych ziem - około 1869 r. przybyli z niedalekiej wsi Rowiny dwaj bracia Juliopolscy. Nabyli oni na własność część tej ziemi, pobudowali własne domy, założyli rodziny, żeniąc się z miejscowymi dziewczynami. Zdolni i pracowici mężczyźni trudnili się ciesielką, szybko powiększając swój majątek. Jednemu z nich szło trochę gorzej. Mieszkańcy spokrewnieni w dalszych pokoleniach do dziś stanowią jedną wielką rodzinę.

Sapiechów ojcowizno moich przodków.

Ziemię piaszczystą rodzącą lasy i kamienie.

Po, których zostały pnie i wiatru pienie.

³ Bronisław Chlebowski, Władysław Wawelski „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” – wg planu Filipa Szalimierskiego z 1885 roku

⁴ Kronika Szkolna ze Szkoły Podstawowej w Żeszczynce – Rozmowa z Czesławem Szczodrakiem z 1999 roku

Czerwone maki i chabry wśród zbóż
Szczątki cmentarza i prochów kurz
Przestały galopować ogniki dusz
Przemierzając dawne włości
Ślady pradziadków i ogrody przeszłości
Patrząc z zadumą na ludzkie cienie
Zawracając chwile miłości i cierpienia

Wstęp – krótka historia dóbr Sapiehy

Na podstawie legend i przekazów geneza nazwiska „SAPIEHY” pochodzi od tego jak: kasztelan trocki Sunigajło nie przystąpił po unii horodelskiej do Kościoła rzymskokatolickiego. Ówczesni widzieli w tym dużo mądrości i nadali mu przydomek „Sop-hia”, co z języka greckiego oznaczało mądry-mądrość. Następnie z połączenia języka greckiego i ruskiego wykształciło się pełne i aktualne brzmienie nazwiska - Sapieha. Inni (heraldycy) uważają, iż protoplastą rodu Sapiehów był Semen, który w pierwszej połowie XV wieku był pisarzem króla Kazimierza Jagiellończyka. Jego dwóch najstarszych synów dało początek dwóm gałęziom sapieżyńskim. Linię siewierską, którą zapoczątkował Bohdan Sapieha i linię kodeńską - Iwan Sapieha (w 1506 roku był sekretarzem królewskim). Nabył on od Ruszczyków i Chaczka - Kodeń nad Bugiem i otrzymał w 1511 roku na sejmie w Brześciu przywilej na założenie miasteczka. W swojej siedzibie w Kodniu, wystawił murowany zameczek. Nabył on wsie położone na Podlasiu oraz otrzymał w darze z przywilejami królewskimi, dobra ziemskie: Łyniew i Wisznice.

Gruntury kodeńskich Sapiehów od południa i zachodu sąsiadowały z majątkiem rodziny Kopciów, od południa z gruntami Bohowityczów, którzy w 1529 r. mieli w posiadaniu Sławatycze, Hannę i Dołhobrody, od zachodu sąsiadowali z majątkami Polubińskich, którzy byli w posiadaniu Rossosza, Horodyszczka i Dubicy.

Dogodne warunki dla rozwoju tych ziem stwarzało ich korzystne położenie nad Bugiem. Rzeka łączyła rozległą Ukrainę z Polesiem Północnym, Podlasiem, Mazowszem i dalej z Gdańskiem i Elblągiem. Z dóbr Małopolski Wschodniej - do Wołynia i Ukrainy, Bugiem spławiano zboże, drzewo, popiół, smołę, miód, warzywa i owoce. Przez Kodeń szedł jeden z ważniejszych szlaków solnych. W latach 80-tych XVI w. znajdowała się tam warzelnia soli. Z uwagi na ogromne znaczenie Bugu dla Kodnia, Paweł Sapieha pobudował dużą przystań i port rzeczny do przeładunku towarów z głębi kraju. Ze stolicy województwa brzeskiego (litewskiego) rozchodziło się kilka szlaków handlowych. Trakt wschodnio-zachodni, który prowadził ze Śląska przez Warszawę, Międzyrzec, Białą, Brześć Litewski i Pińsk, rozwidlał się w Kobryniu do Moskwy. Trakt królewski - z Krakowa przez Lublin, Ostrów, Parczew, Wisznice, Łomazy, Piszcząc, Brześć Litewski do - Kamieńca i Wilna. Oprócz tego, przebiegał także szlak handlowy z północy

na południe przez Bielsk, Wolczyn, Kodeń Sławatyczne, Włodawę, Krasnystaw, Zamość, Tomaszów, Rawę Ruską i Żółkiew.

W XVIw. w Koniu prężnie się rozwijało bednarstwo, które było cenione w prywatnych miasteczkach takich jak: Białej Podlaskiej, Sławatyczach, Połczynie i Włodawie. Rozwijała się również produkcja żelaza i sukna. Oddziały wojska polskiego w Powstaniu Kościuszkowskim zaopatrywały się w sukno i mundury wytwarzane w licznych sapieżyńskich manufakturach. Sapiehowie kodeńscy byli tolerancyjni dla innych religii. Nigdy nie kierowali się zasadą: czyja władza, tego religia. Szanowali poglądy religijne i z tym związane ludzkie zachowania. Dbali również o przygotowania swoich synów do służby wojskowej. Większość z nich wykazywała się wielką walecznością i umiejętnością w podejmowaniu samodzielnych decyzji politycznych. W nagrodę za wiarę i przykładną służbę, królowie polscy nadawali im tytuły. Sapiehowie dzielili swój czas między politykę i zarządzanie swoimi posiadłościami. Stwarzali na kodeńszczyźnie dogodne warunki dla rozwoju rolnictwa, rzemiosła, handlu i leśnej wytwórczości. Na podstawie tych danych można stwierdzić, że Sapiehowie kodeńscy nie przynosili wstydu swoimi poczynaniami nawet w czasie potopu szwedzkiego i powstania listopadowego.

Z przeszłości Wisznice i okolic

Wspomniana wieś Wisznice o charakterze wsi targowej powstała w miejscu krzyżujących się ważnych traktów komunikacyjnych i handlowych. Prawdopodobnie nazwa tej miejscowości pochodzi od pnia drzewa wiśniowego lub od potomków o imieniu Wisznia. Wisznice to stara osada leżąca po obu stronach rzeki Zielawy. Dokładnie nie ma ustaleń, kiedy powstała. Prawdopodobnie najpierw należała do dóbr królewskich.

Najstarszą notatkę, z jaką się spotkałam to: „Panu Naciowi, staroście Brzeskiemu: Woin, Lubice, Wisznice, Jabłoczno, Kijany i pole Horodyszczów dał sam Wielki Książę. Działo się to około roku 1453 za panowania Kazimierza Jagiełły, gdy Wielkim Księciem Litewskim był jego brat Aleksander”. Innym dyplomem wystawionym w Brześciu jest, że w roku 1511- Zygmunt Stary nadaje Wisznice Iwanowi Sapież. Według podziału administracyjnego dawnej Rzeczypospolitej, Wisznice leżały w powiecie brzeskim, województwa brzeskiego na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego. Granica między Koroną a Litwą przechodziła niedaleko Wisznice koło Wohynia.

Od początku XVI wieku Wisznice należały do magnackiego rodu Sapiechów i jako osada położona z dala od większych miast, na piaskach i błotach podlaskich, przy szlaku dróg wiodących do Radzyna i Parczewa, w kierunku Bugu do Sławatycz i Włodawy oraz przez Łomazy do Białej Podlaskiej. Po Iwanie dobra Wisznickie przeszły na jego syna Pawła Sapiechę (wnuka Semenę). W 1552 roku rozpoczął się długi spór o grunta pomiędzy Pawłem Sapiechą a Kopciami. Kopciowie twierdzili, że Paweł Sapiecha w ich własnym majątku rodzinnym: Opole, Rusiłowie⁵ samowolnie zmienił znaki graniczne i kopce, przyłączając część gruntów do swojego majątku Wisznice i Łyniew.

W roku 1579 nastąpił w Wilnie podział majątności między synami Pawła Sapiechy, w wyniku, którego dobra Wisznickie otrzymał najmłodszy syn - Andrzej. Oprócz dworu i miasta Wisznice w skład tych dóbr wchodziły folwarki i sioła: Rozwadówka, Sosnówka, Motwica, Dołholiska, Pohorylec (Pogorzelec), Dańce, Zabłocie i Lepianki (Lipinki). W roku 1588 Andrzej Sapiecha sprzedaje odziedziczone dobra ziemskie, bratu Mikołajowi. Zakłada on w Wisznicach cerkiew parafialną. Syn jego Krzysztof (stolnik litewski)

⁵ Rusiłowie – obecnie Rusiły

w roku 1630 ufundował drewniany kościół katolicki. W roku 1637 umiera w Padwie. Jego zwłoki przewieziono do Wisznicy i pochowano w ufundowanym przez niego kościele.

Wisznica jako średniowieczna osada targowa rozciągała się wzdłuż traktu krakowsko-wileńskiego, w miejscu dzisiejszej ulicy Rowińskiej. Granicą od strony południowej stanowiła prostopadła dolina rzeki Zielawy. Geometryczną osnową podziału terenu stanowił rynek, który wymierzono w miejscu istniejącego wcześniej placu targowego. Powiększono go nadając regularny kształt. Prostokątny plac targowy jakby obrócono, pierwotnie leżał na osi traktu brzeskiego, po nowym rozmieszczeniu leżał wzdłuż traktu chełmskiego. Cmentarz kościelny wyznaczał wschodnią granicę placu rynkowego. Zabudowę miejską otaczał wał z rowem i parkanem, które miały raczej charakter graniczny a nie umocnienia. Po za miastem, przy trakcie do Chełma rozbudowano folwark plebański, składający się z ośmiu zagród włościańskich i budynków gospodarczych. W XVII wieku znane z nazwy następujące ulice: Chełmska, obecnie Kościelna; Nadworna, później Horodyska a obecnie dr Makaruka; Rowińska; - Wójtowa. Zespół rezydencyjny Sapiehów spełniał rolę drugorzędną, ze względu na niewielką odległość reprezentacyjnej rezydencji rodu w Kodniu. Dwór obronny założono na wzniesieniu 3,5 do 4,5 metrów ponad zalane wodami stawu dno doliny Zielawy. Strzegł on przeprawy przez rzekę i panował nad długimi odcinkami traktów handlowo-komunikacyjnych, którymi odprowadzono wodę do zalewanych łąk opasujących wzniesienie. W początkach XIX wieku zespół dworski zajmujący kilkusethektarową przestrzeń na południowym brzegu Zielawy, dzielił się na trzy części: zabudowę pałacowo-parkową, folwark oraz zespół budowli przemysłowych. Podział wynikał z funkcji poszczególnych obiektów w terenie. Założenie pałacowo-parkowe - obecnie Wygoda I, zajmowała obszar dwudziesto-morgowy. Zabudowania folwarczne - obecnie Wygoda II, skupiała się wokół dziedzińca opasującego dwór i park, w głębi gruntów ornych i łąk z sadem i ogrodem warzywnym. Zajmowały obszar czterech morgów. Zakłady przetwarzające produkty rolnicze, gorzelnia z browarem, młyn wodny - znajdowały się niedaleko zabudowań folwarcznych. Dwa wiatraki otwierały zabudowę miasteczka od strony wjazdu od Dubicy. W 1906 roku przy drodze do Parczewa wyznaczono teren na nowy cmentarz rzymskokatolicki.

W XVII i XVIII wieku częste przemarsze wojsk polskich i obcych, związane z tym grabieże i pożary zniszczyły zabudowę Wisznicy. Tylko ocalały kościół i cerkiew. Szlachta województwa brzeskiego obradująca na

sejmiku (1707 r.) uwolniła mieszkańców Wisznic z opłat dymnych w celu ekonomicznego wzmocnienia miasta. W 1715 roku na prośbę Józefata Sapiehy, August II Sas nadał przywilej na dwa nowe jarmarki, utrzymując dwa wcześniejsze. Jeden na Św. Iwana według ruskiego kalendarza, drugi na Św. Marcina, kalendarza rzymskiego. W roku 1790 uzyskano pozwolenie na piąty jarmark, w dzień Św. Michała.

W roku 1801, Teofila z Jabłonkowskich Sapieżyna i jej syn Aleksander sprzedają Malskim: Błażejowi i Annie z Nowomiejskich dobra Wisznickie (bez Wisznic), zwane;

„hrabstwem wisznickim”. Później te ziemie dziedziczyła Zofia z Malskich -Kraszewska. Wisznice do roku 1835 należały do Sapiehów.

W 1821 roku Wisznice, jako miasteczko graniczy na wschodzie (z attynencją dóbr wisznickich) wsią Żeszczynką i wsią dziedziczną Rozwadówką. Na południu z attynencją dóbr rzeczonych- Łyniewem i folwarkiem Wygoda, na zachód: z wsią dziedziczną Dubicą, na północ z miasteczkiem Rossosz i attynencją tych dóbr wsią Rowiny i wsią rządową Kopytnik. Wisznice liczyły 948 mieszkańców, w tym 235 żydów, którzy trudnili się drobnym handlem i rzemiosłem. Pozostała ludność zajmowała się rolnictwem. Wykonywali również robocizną należną dziedzicowi. Wówczas było w Wisznicach 24 sklepów i 11 domów zajezdnych. W roku 1831 już było sklepów i kramów 30. Liczba domów zajezdnych wzrosła do 15. W ciągu roku odbywało się pięć jarmarków (według nadanych przywilejów). Największy jarmark przypadał na dzień Św. Jerzego. Przedmiotem handlu były konie i krowy. Wisznice pełniły rolę prężnego ośrodka handlowego. Posiadały duży rynek z układem centralnym, kilka ulic, drewnianą cerkiew greckokatolicką z zabudowaniami, parafialny kościółek rzymsko-katolicki z dzwonnica, plebanię i organistówkę, łaźnię, szpital żydowski i bożnicę. Wisznice posiadały Szkołę początkową. W roku 1829 Wisznice liczyły 1886 osób w tym 740 żydów.

Powstanie styczniowe przyspieszyło decyzje o pozbawieniu Wisznic praw miejskich. Miasteczko liczące 1782 mieszkańców (rok 1869) zamieniono na wiejską osadę i przyłączono do gminy Horodyszcze.

Interesujące wiadomości z okresu Powstania Styczniowego dotyczą-ce Wisznic, zachowały się w raportach naczelnika powiatu radzyńskiego do cywilnego gubernatora lubelskiego. Dowiadujemy się z nich m.in. „W dniu 11 kwietnia 1863 roku przybyło do miasta Wisznic kilkunastu uzbrojonych ludzi, którzy wszedłszy do kancelarii Magistraty zabrali za pokwitowaniem z kasy ekonomicznej 100 r. s. z funduszów przechodnich, po czym

natychmiast wydalili się z miasta”. Inna wiadomość „W dniu 13 lipca 1863 roku wieczorem przechodził przez miasto Wisznice oddział powstańców złożony z osób 500”, „W dniu 26 lipca 1863 roku dwa oddziały powstańców z osób około 800 składające się, przybyły do miasta Wisznice, skąd po zabawieniu godzin 7 udały się przez Horodyszcze ku Jabłoniowi...”, „W dniu 24 października 1863 roku przechodził przez miasto Wisznice oddział powstańców konnych z osób około 300 złożony...”.

W 1875 roku zniesiono przez władze rosyjskie parafię i dekanat wisznicki, ustanawiając parafię prawosławną. Zlikwidowano ją aż po 1918 roku. Murowany budynek cerkiewny przejęła parafia rzymsko-katolicka. Po pierwszej wojnie światowej (1914-1918) Wisznice były nie tylko spalone, ale i wyludnione. Duże zniszczenie spowodowała ofensywa niemiecka, wycofujące się wojska rosyjskie, które celowo paliły zabudowania. Część ludności pod naciskiem propagandy i przymusem wojskowym opuściła ojcowiznę i wyjechała do guberni nadwołżańskiej, skąd wróciła po zakończeniu wojny.

W 1909 roku dozór kościelny w Wisznicach podpisał z inż. arch. Janem Olejarskim w Radzynie umowę na opracowanie projektu nowego kościoła (projektował on kościół w, Różance), na sprawowanie i kierowanie pracami budowlanymi. Sporządzony kosztorys przewidywał wydatki około 47 000 rubli. Fundusz uzyskano ze zbiórek wiernych. Projekt przedstawiony przez Olejarskiego, zakładał budowę murowanego neogotyckiego kościoła o dwunawowej fasadzie na rzucie krzyża łacińskiego. Majstrami byli Józef Jaroszewicz i Stefan Gołubienko. Budowlę przerwała I wojna Światowa. Jedynie przygotowano ławy fundamentowe. W 1937 roku architekt Bohdan Pniewski i inż. Arch. Jan Cybulski na istniejących fundamentach opracowali wtórny projekt murowanego kościoła parafialnego pod zmienionym wezwaniem: Przemienienia Pańskiego i Św. Antoniego Padewskiego. Zaprojektowaną budowlę nawiązano do kościoła spalonego w 1908 roku. Plany zrealizowano w latach 1937-1955. Pomurowano z cegły i kamienia, na planie krzyża łacińskiego z dwuwieżową fasadą. Przy zamkniętym trójbocznie prezbiterium, zakrystia i kaplica. Dach dwuspadowy pokryty blachą, zwieńczony wieżyczką z krzyżem. Polichromie wykonał Z. Łoskot, ołtarze i ambona są dziełem W. Powłowskiej a konfesjonały i tron - Walichnowskiego⁶

⁶ Na podstawie „Wisznice i okolice” Bronisława Seniuka, Warszawa 1989r.

W okresie międzywojennym Wisznice stanowiły obszar zacofania i zaniedbania. Mało, kto posyłał dzieci do szkoły średniej, nie mówiąc o studiach wyższych. Brak pracy i źródeł utrzymania, z wyjątkiem pracy na roli.

Po odzyskaniu niepodległości Wisznice przyłączono do powiatu włodawskiego w województwie lubelskim. Wówczas wzniesiono murowany budynek szkoły powszechnej, wybudowano mleczarnię, młyny, tartaki, odbudowano zniszczone domostwa.

Wisznice powoli wchodziły na drogę rozwoju. Nowopowstałe obiekty stwarzały miejsca do pracy i nauki. Coraz więcej dzieci uczęszczało do szkoły, a młodzież do szkół ponadpodstawowych.

Wybuch drugiej wojny światowej przerwał rozwój osady. Tu również rodził się opór wobec okupanta. Powstawały placówki Armii Krajowej. Dużą aktywnością bojową wyróżniały się operujące w okolicy Wisznice oddziały Gwardii Ludowej. Aparat policyjno-represyjny okupanta, który swoją siedzibę miał w Wisznicach, składał się z plutonu żandarmerii niemieckiej, komendantury policji ukraińskiej i posterunku policji granatowej. W 1940 roku decyzją władz niemieckich w północno-wschodniej części osady, między obecną ulicą Kościelną, Fabryczną i Polną, wydzielono teren getta. Za drutami znalazło się 9850 Żydów wisznickich. Przywieziono transport Żydów z Mławy i Krakowa. Zorganizowano też tu policję żydowską. Żydów wywieziono do obozu śmierci w Treblince, pozostawiając około stu najlepszych rzemieślników. Przed wyzwoleniem zostali oni rozstrzelani nad Zielawą. Po wojnie zwłoki ekshumowano. W 1944 roku z 22 na 23 lipca linia frontu przeszła przez Wisznice przynosząc mieszkańcom wolność.

Obecnie stary cmentarz jest obiektem zabytkowym zamkniętym. Zachowały się tutaj grobowce rodzinne, rzeźbione w kamieniu i marmurze. Są to nagrobki rodziny Kraszewskich i Malskich oraz mieszkańców z okolic Wisznice. Do najcenniejszych należą: - rodzinny, grobowiec Kraszewskich z wmurowanymi epitafiami: Kajetana Kraszewskiego, pisarza, syna Jana i Zofii z Malskich Kraszewskiej, brata J.I. Kraszewskiego; Marii z Rulikowskich Kraszewskiej, żony Kajetana; Wandy ze Skarżyńskich Kraszewskiej; - nagrobek Zofii z Malskich Kraszewskiej - matki Józefa Ignacego i Kajetana. W zwieńczeniu kamienny krzyż - rodzinny grobowiec Sosnkowskich: Ignacego Sosnkowskiego, pułkownika Wojsk Polskich oraz jego syna Juliusza; kamienna płyta zwieńczona żelaznym krzyżem; - rodzinny grobowiec Horodyskich, murowany z cegły, w zwieńczeniu kamienna rzeźba Chrytusa i Matki Boskiej; nagrobek z czarnego marmuru,

miejsce spoczynku Bronisława Mierzwińskiego, właściciela dóbr na Podolu i Podlasiu, zmarłego w Polubiczach k. Wisznic. Rzeźby, płyty i napisy zostały zniszczone przez czas i Ludzi. W początkach XX w. nekropolia była już zapełniona. W 1906 r. wytyczono nowy cmentarz, 1966 roku został powiększony i otoczony murem z cegły.

Po wojnie w Polsce Ludowej obraz Wisznic zmienił się w ludną i tętniącą życiem osadę. W lipcu 1948 roku postanowiono otworzyć gimnazjum, które później otrzymało nazwę „Prywatne Koedukacyjne Gimnazjum Gminnej Rady Narodowej w Wisznicach. W sierpniu, 1946 roku odbyło się (nie protokołowano) zebranie, w którym wzięli udział: wójt gminy Wisznice, kierownik szkoły podstawowej, aptekarz, lekarz weterynarii, proboszcz oraz zaproszono Władysława Zawadzkiego z Żeszczynki z wykształcenia mgr inż. Władysław Zawadzki został wówczas dyrektorem gimnazjum, potem Liceum Ogólnokształcącego w Wisznicach. Założył również szkołę zawodową.

Władysław Zawadzki urodził się 27 czerwca 1905 roku w Żeszczynce w pobliżu Wisznic. Całe swe długie lata i pracowite życie związał bez reszty z Podlasiem i poświęcił się pracy nauczycielskiej. W latach niemieckiej okupacji przebywając w rodzinnej Żeszczynce, pracował na roli i jednocześnie prowadził tajne nauczanie wiejskiej młodzieży⁷. Zmarł w 1987 roku w Białej Podlaskiej.

Podlasie może szczycić się jednym z największych polskich bohaterów narodowych -Tadeuszem Kościuszką, który był często związany z tym regionem. W 1712 roku Kazimierz Kościuszko, podczaszy piński, lokował osiem tysięcy złotych polskich u Stanisława Potockiego, dziedzica hrabstwa romanowskiego. Za to otrzymał w zastaw, wieś Sosnówkę z folwarkiem z dóbr klucza Romanów. Ponadto Kościuszkowie byli krewką szlachtą, niedającą się nawet magnatom. W roku 1717 Ambroży Kościuszko, pisarz ziemski brzeski, podczaszy owrucki, na sejmiku w Brześciu ściał szablą Ludwika Pocieja, hrabiego na Włodawie i Różance, hetmana polnego i wojewodę wileńskiego, który był uważany przez cara Piotra Wielkiego za przyjaciela i swego stronnika. W Brześciu został poturbowany Jan Fleming - podskarbi litewski, następca Pocieja w Terespolu, Włodawie i Różance został zaatakowany przez Franciszka Kościuszkę.

⁷ Z przeszłości Wisznic – artykuł ze Słowa Podlasia nr 23,

W księgach parafialnych kościoła Św. Anny w Białej Podlaskiej są zapisy, które mówią o powiązaniach rodziny Kościuszków z dworkiem bialskim, książąt Radziwiłłów i okolicznych magnatów, takich jak Czartoryskich i Sapiechów.

W 1762 roku, siostra Tadeusza Kościuszki, Anna wyszła za mąż za stolnika smoleńskiego - Piotra Estkę, który od roku 1760 dzierżawił Sławatycze, później Dołholiskę koło Wisznic. W okresie nauki w Szkole Rycerskiej Tadeusz często odwiedzał swoje siostry na Podlasiu. Anna z mężem Piotrem Estką gospodarzyła w Dołholisce a młodsza Katarzyna zamężna za Żółkiewskim mieszkała w Kuzawce. Latem w Różance k/Włodawy, kadeci podwładni Tadeuszowi Kościuszcze rozkładali obóz letni. Kościuszek wypoczywający u siostry w Dołholisce zbudował w polu własnoręcznie mały murowany pomniczek w kształcie piramidy. Wewnątrz umieścił dwie zalane smołą butelki, w których znajdowały się ważne mu dokumenty. Własnoręcznie obsadził drzewkami. Odprawiło się uroczyste nabożeństwo w kościele w miejscowej cerkwi unickiej, podczas której przed obrazem Madonny zawiesił na ołtarzu swój krzyż zdobyty w Ameryce z rąk Waszyngtona - jako wotum za udział w wojnie za niepodległość Stanów Zjednoczonych. Jego brat jako hulaka w 1789 roku zmarł w Dołholisce przy siostrze i pochowany na cmentarzu w Wisznicach.

Narzeczona Tadeusza Kościuszki - Ludwika pisała do Tadeusza, że protegowała go i jego siostrzeńca, aby zatrudniono w wojsku. Wkrótce po tym został mianowany generałem.

W roku 1790 jako generał rozpoczął służbę w wojsku polskim a do jego dywizji został przeniesiony siostrzeniec - Tadeusz Estko, pochodzący z Dołholiski.

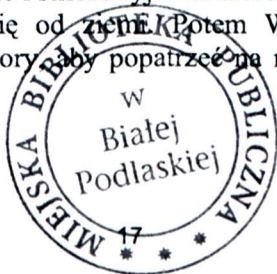
W listach do siostry i szwagra, którzy zarządzali jego majątkiem, Tadeusz Kościuszek prosił, aby nowych podatków nie przerzucać na chłopów, ale zapłacić z folwarku⁸. W innym liście do siostry pisał: aby poddani odrabiali tylko dwa dni pańszczyzny a kobiety zwalniał całkowicie. W 1792 roku Kościuszek z krewnymi z Dołholiski odbył zaszczytną kampanię w obronie konstytucji 3-Maja. Jego imię stało się sławne nie tylko wśród społeczeństwa polskiego. Generał Tadeusz Kościuszek wydał uniwersały regulujące sprawę chłopską. Po klęsce maciejowickiej w niewoli rosyjskiej - zmarł na emigracji - 1746 - 1817 rok.

⁸ Rocznik białkopodlaski, tom II 1994r.,

Dzieciństwo Wiktorii

Jak małe kociątko pragnęła się przytulić do swojej mamy, która ciągle leżała w łóżku. Wiktoria pragnęła pogłównie szczególnie wtedy, gdy oczy domowników były wpatrzone w małą dziewczynkę. Małe serduszek przeczuwało, że w tym domu kryje się smutek, którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Dni upływały i stawały się coraz smutniejsze. W zimie całymi dniami przesiadywała wśród domowników w większości płci męskiej, którzy najczęściej bawili się drewnem. Wiktoria także brała w małe rączki mały nożyk i strugała. Nie zawsze była zadowolona ze swojej pracy. Z chropowatego patyczka powstawał gładki i cienki, ale ciągle tylko patyczek, czasami krótszy lub cieńszy. Nadawał się tylko do pieca albo do pisania po piasku. Często wymykała się z domu w płóciennych chodaczkach, które wcześniej, z kolorowego, grubego materiału ręcznie uszyła mama. Takie chodaczki nosiła Wiktoria latem i zimą. Były bardzo lekkie i śliskie. Często do domu wracała ze łzami w oczach i wielkimi dziurami w podeszwie. Ciepłym porankiem wymykało się na podwórze małe i szczupłe dziewczątko. Bacznie przyglądało się wielkim zwierzętom z rogami na przodzie i dziwnymi torbami z tyłu. Wybiegały one z obory, piły wodę i gdzieś pędziły przed siebie zostawiając kłęby pary o nieprzyjemnym zapachu. Nagle zjawił się chłopiec trochę większy od Wiktorii, z torbą na plecach i wielkim kijem w małej rączce. Codziennie wyścigowała, się z tymi krowami, które znikwały za drogą głaszcząc nozdrzami zielony dywan trawy. Dopiero na podwórzu zjawiały się w południe albo wieczorem a z nimi zapach mleka i trawy.

Od wczesnego ranka spacerowały po podwórzu ciekawe ptaki, spoglądając do góry małymi oczkami, zabawnie kokodakając lub gęgając. Znienacka wybiegało stado prosiąt w łatki biało-czarne, lub zupełnie czarne. Podchodziły do nóg Wiktorii, unosząc małe ryjki z dziurami w nosie i przyglądały się wielkimi oczami, wyrażając chęć na bliższą znajomość. Dziewczynka szybko przebierała cienkimi nóżkami chowając się do spichlerza. Zaraz wynosiła w garncu trochę zboża, syjąc do długiego drewnianego korytka stojącego przy wysokim progu. Uparte prosiaki pchały nieostrożnie swoje zaostrome i śliskie ryjki na małe nóżki, które na przemian w podskokach odrywały się od ziemi. Potem Wiktoria zaglądała przez szczelinę w drzwiach do obory, aby popatrzeć na małe cielaki, które ciągle tęskniły za swoją mamą.



Pewnego razu udało się dopilnować kotkę, która urodziła małe kocięta i wychodziła na posiłek lub dalsze polowanie. Wiktoria nie wyobrażała sobie życia bez podwórkowej krzątany, wówczas zapominała o mamie, która coraz częściej leżała w łóżku, coraz rzadziej brała ją za rączkę, żeby przyciągnąć do siebie, aby przytulić i wycłować. Często niepostrzeżenie wymykała się z domu, w którym była bardzo potrzebna. Tata, lub nawet starszy brat często wysyłali ją do komórki po różne narzędzia potrzebne do obróbki drewna. Tam wszystko było bardzo starannie ułożone, każdy przedmiot miał swoje miejsce. Niektóre przybory wisiały na ścianie a niektóre leżały jedno obok drugich. Wiktoria знаła na pamięć ich miejsce i nazwę.

Oczy mamy mając córeczkę na widoku były bardziej radosne. Często zwracała się do niej: podaj wody, postaw kubeczek, przynieś grzebień. Wiktorii nikt nie wtajemniczał, jakie nieszczęście jest ukryte w tym domu, wiedziała, że jest chora. Przecież wiele osób choruje. Nie pomagały Marcie dmuchania i zamawianie choroby przez różne kobiety, które coraz częściej pojawiały się w domu. Nie zdawała sobie sprawy Wiktoria, że mama wkrótce na zawsze odejdzie, że nigdy nie przytuli jej najbliższa osoba, ciepła ręka nie pogłaszcze jej płowych włosów. Smutne oczy nie będą goniły za jej figlarną sylwetką po pokoju, jakby chciały na zawsze utrwalić jej obraz w pamięci. Mała dziewczynka często w myśli zadawała sobie pytania: dlaczego nie mogę chować się do jej łóżka, wtulając się bezpiecznie w ramiona, czuć jej pocałunki oraz delikatne głaskanie wąskiego ciała. Po pewnym czasie, młodej Wiktorii nie pozwalano się nawet zbliżyć do łóżka mamy. Serce matki pękało z żalu patrząc na małą szcziotkę, która tak bardzo potrzebowała matki. Smutne myśli ciągle tańczyły w głowie Marty - Córeczko moja kochana, jest coś, o czym ty nie wiesz. Żal mi ciebie, że ci nie mogę powiedzieć, jest to tajemnica mojego życia. Przecież ty tego nie potrafisz zrozumieć ani pojąć tej gorzkiej prawdy. Jest w sercu każdej, matki coś, taki mały ogień miłości, który ty też dostaniesz od Boga, gdy sama będziesz matką - myślała Marta. Łzy dławily jej zbolełe serce, które coraz częściej mocno się kurczyło, chcąc na zawsze zatrzymać małą isierkę miłości swojego życia młodej córeczce. Twarz ukrywała w kilimie, który okrywał jej schorowane ciało. Tam mogła dowoli się wypłakać, nie kępując się, że ktoś patrzy na nią. Takie myśli coraz częściej przychodziły i jeszcze bardziej pogłębiały chorobę.

Odfrunęła jak anioł

Poranek wiosenny tego roku był wyjątkowo pogodny, promienie słoneczne wskakiwały przez wszystkie szczeliny drzwi i okien. Wiktorię obudziło niezwykle zamieszanie i wielka krzątanina domowników. Wyjrzała jak mały wróbelek ze swojego gniazdeczka, bacznie obserwując najbliższe otoczenie przez ciężko opadające powieki, obciążone śpiochami. Tym razem oczy były wystraszone i latały po mieszkaniu i jego domownikach. Zagadkowa atmosfera sprawiała, że malutkie serduszek zaczęło się szamotać jak ptak w zamkniętej klatce. Chwilami miała ochotę głęboko ukryć się pod grubą chustą i nie widzieć, co dookoła się dzieje. Tym razem chciała wyskoczyć ze swojego barłogu i zajrzeć im w oczy, dowiedzieć się, dlaczego rozmawiają przyciszonym głosem, każdy z nich ma opuszczoną głowę a na twarzy rysuje się smutny wyraz. To, co spostrzegła, jej mały umysł zrozumieć nie potrafił. Dlaczego jej ukochaną mamę układają do snu, do drewnianego, jasnego korytka. Dlaczego? Mamo; dlaczego? Wirywał się dławiący krzyk i mocne ściskanie w małej piersi. Wiktoria jak sparaliżowana, nie mogła wydobyć się ze swojego w nieładzie rozrzuconego pośłania. Spostrzegła wychudłe dłonie mamy, podobne do małych i drobnych jej rączek. Splecione spoczywały na piersiach okrytych końcami białego szala, na którym zwiisał różaniec okalający jej dłonie. Jasna, młoda twarz wydawała się być zamyślona, jednocześnie lekkim uśmiechem zdradzała szczęście, że jest już w innym świecie, w beztroskim i piękniejszym, do którego aniołkowie w zwiewnych sukieneczkach pomagają przedostać się przez chmurki. Tak, na pewno podążała do szczęśliwej jasności, w której nie ma cierpienia, codziennej zgryzoty i smutku. Wiktoria miała ogromną ochotę chwycić mamę obiema rączkami i tulić się dowoli, na co ostatnio nie miała pozwolenia.

Wiktoria ten ostatni wieczór przesiedziała na kolanach u swojego taty, wsłuchując się w modlitwy i śpiewy zebranych. Wkrótce noc i rzewne pieśni ukołysały ją do snu. Na drugi dzień, wczesnym rankiem, obudziły ją gwały krewnych i sąsiadów, którzy przybyli, aby ostatni raz pożegnać zmarłą, która jeszcze nie powinna z tego świata odejść, ponieważ nie zdążyła się nim nacieszyć.

Trumnę zawieziono do kościoła w Wisznicach, a stamtąd na cmentarz unicki przy ul. Kościelnej. Zabrakło tam czteroletniej córeczki, jej małych rączek, które by ostatni raz dotknęły zimnej trumny, zabrakło tej ostatniej chwili na pożegnanie z mamą, czego żałowała całe życie.

Po śmierci Marty nikt nigdy nie zawiózł Wiktorii na grób, nigdy nie poznała miejsca jej spoczynku, za czym tęskniła całe życie. Kilkanaście lat później dowiedziała się od krewnych, (ze jej ukochana osoba jest pochowana w pobliżu wyniosłego pomnika z kamiennym krzyżem Karoliny Gorzowskiej z domu Potier, zmarłej w 1821 roku w Romanowie z napisem „Wdzięczne uczennice”. Nieopodal górowały nad innymi zmarłymi monumentalne grobowce, nad którymi wznosiły się przyjazne duchy zmarłych z rodziny Malskich, Kraszewskich i inne, witając przyjaznym gestem młodzieńką ziemiankę z Sapiechowa.

Znajdujące się tam kamienne płyty, rzeźby i napisy zmienił czas, cóż dopiero zwykła usypana z piasku mogiła Marty z drewnianym krzyżem, na której pozostała darń, co rok zmieniająca barwę, jesienią szarobrązowa, wiosną soczysta zieleń, wspinająca się między gąszczem ku słońcu.

Nowy dom i nowe nadzieje

Po śmierci Marty, która odeszła jak wiosenny powiew wiatru, niosący zapach z łąk i sadów, jak biały anioł fruujący w wyobraźni daleko w chmurach, na którego Wiktoria codziennie spoglądała mając nadzieję, że patrzy na nią i nadal się opiekuje. Dziecko stało się zamknięte i skryte. Wiktoria musiała wykonywać wszystkie polecenia domowników, chociaż bunt wewnętrzny często był jak zburzona woda, która szybko się uspakajała wraz z ciszą otoczenia. Tata stawał się z dnia na dzień słabszy i bardziej obojętny na różne podejmowane prace o których dyskutowano szczególnie przy kolacji. Największe obowiązki podejmował brat Kazimierz, który był bardzo dokładny w wykonywaniu każdego podjętego zadania. Jego żona Marianna w codziennych zmaganiach w domu z dwojgiem dzieci, Franciszkiem i Zofią, stawiała się mało silna i smutna. Młodszy brat Wiktorii, Stanisław krok w krok chodził za tatą, który przeważnie przechadzał się po podwórzu, ale za to dużo opowiadał o dawnych czasach. Wiktoria codziennie odczuwała tęsknotę i smutek, ciągle była zamyślona. Tata nie rozumiał małej córeczki, bardziej interesowały go potrzeby synów. Uważał, że wystarczy, gdy dziecko jest ubrane i nakarmione.

Wiktoria nie zawsze zważała na zakazy i polecenia, często wymykała się z domu na Ukazy⁹. To była droga polna, która prowadziła na wschód do Przechodu a na zachód do Żeszczynki. Z tej ulicy, szczególnie w lecie, przed zmierzchem, dochodziły piękne dźwięki muzyki przypominające śpiew czarodziejskiego ptaka, przyciągający dzieci, młodzież i niekiedy dorosłych. To delikatne struny skrzypiec w artystycznych rękach młodego Grzegorza Szczodraka, który od najmłodszych lat miał zamiłowanie do muzyki. Kochał on skrzypce, kochał muzykę, całymi dniami z nimi się nie rozstawał, a ludzie nazwali go „muzykiem”. Te chwile były najpiękniejsze w życiu Wiktorii. Wyczekiwała, żeby usiąść pod płótem, lub stanąć przy otwartym oknie i wsłuchiwać się w czarodziejskie dźwięki skrzypek, które sprawiały, że zapominała o całym świecie. Zapominała o domownikach, o jedzeniu i spaniu. Przypominała sobą małe kociątko w kłębuszek zwinięte pod oknem „muzyków”, z głową wtuloną w zgrzebną sukienkę między kolankami. Wówczas zapominała, że dawno słońce się skryło za zabudowaniami Hryciów (obecnie Sokolscy). Późnym wieczorem brat Kazimierz zabierał to kociątko, któremu sen i jawa zlewały się razem stwarzając najpiękniejsze chwile życia. Wiktoria wracała do domu bardzo senna, niosąc w marzeniach najpiękniejsze melodie, przedłużając dalej we śnie w pozostałej części nocy.

Tak przechodziło lato, mijały pory roku, niosąc różne niespodzianki w rodzinie. Z małego dzieciątka wyrastało piękne dziewczątko. Udoskonalała z każdym dniem swoje umiejętności w wykonywaniu prac domowych, w gospodarstwie i na polu. A było na czym pracować. Z upływem czasu w pamięci Wiktorii zacierały się obrazy najważniejszej osoby w jej życiu. Obraz mamy oddalał się z każdym rokiem, pozostawał w dalekiej mgłę. Zacierała się dawna bliskość i prawdziwa miłość matczyzna, której na pewno jej nikt nie zastąpił. Najbardziej brakowało mamy, gdy szła do kościoła z domownikami, widząc dziewczynki w kolorowych sukienkach z falbankami i kokardami we włosach.

Pewnego wieczoru wystraszył Wiktorię czerwony smok ognia, który rozjaśnił podwórze i unosił się wysoko nad dachem ich domu. Czerwona luna oświecała cały sprzęt i inne zabudowania przylegające do podwórza. Słyszac

⁹ Droga polna prowadząca przez Sapiehów, przy której stały zabudowania folwarczne (w okresie feudalnym), zamieszkiwane przez ludzi pracujących na ziemi właściciela. Na mocy ukazu carskiego mogli ci wyrobnicy wykupić ziemię i na niej gospodarować. Prawdopodobnie przy tej drodze ludność mieszkała nadal w czworakach nie korzystając z tego zarządzenia, zwano, dlatego tą ulicę UKAZAMI.

donośny i przeraźliwy głos mężczyzn, wystraszona szybko wyskoczyła ze swojego posłania. Wszyscy bardzo przerażeni stali pod mieszkaniem słuchając trzaskania łamiącego się dachu oraz patrząc na wielkie snopy fruwające wysoko nad głowami. Siła ognia unosiła wysoko strzepy strzechy, które łączyły się ze strzępami słomy sąsiadów. Powstał wielki smok zięjący ogniem wzdłuż drogi łączący wiele domów. Po rosie rozchodził się płacz i zawodzenie kobiet, które stały z małymi dziećmi na rękach, wybudzonymi ze snu, w koszulkach, drżącym ciałem z zimna i ze strachu. Nikt nie zdążył uratować swego domostwa przed niszczącą siłą ognia. Wszyscy byli w głębokim, pierwszym śnie, kiedy kozak jadąc koniem, trzymając w ręce wielką rozżarzoną pochodnię z drewna i kolejno podkładał pod strzechy domów. Gdzie niegdzie stały drewniane słupki, na których rozwieszane były lemiesz od pługa zwane gongami. Nikt nie zdążył zadzwonić, ogień bardzo szybko trawił cały dorobek mieszkańców Sapiechowa. Tak postępowali kozacy w wielu wioskach na wschodzie Polski, ale tym razem im nie uszło bezkarnie. W tej chwili wśród mieszkańców Sapiechowa zrodził się wielki bunt, gniew i złość. Ktoś powiedział, że zobaczył jadącego mężczyznę, który podpalał. Nie trzeba było nawet namysłu, wystarczyło jedno słowo, mężczyźni jak jeden mąż szybko dosiedli koni, biorąc do ręki, co było w pobliżu: siekiery, widły, kije i pędem wyruszyli za nim w kierunku wschodnim. Zaskoczyli go z zienacka, niespodziewanie, nie pomyślał, nawet nie spostrzegł, przez myśl mu nie przeszło, że mieszkańcy potrafią zebrać wszystkie siły, zorganizować się i zaskoczyć na gorącym uczynku podkładając ogień pod strzechę ostatniego domu wsi Sapiechów od strony Przechodu. Obecnie jest tu posiadłość braci Karpiuków: synów Franciszka i Aliny Karpiuków. Na tym polu sprawca został okrążony ze wszystkich stron i złapany. Dokonano samosądu pod gruszą dziczką, która przetrwała niemal do naszych czasów. Niektórzy chcieli go powiesić, inni zabić, żeby umierał śmiercią powolną. Jednak błyskawicznie wydano wyrok - powieszenie na jednej z wielu gałęzi tej samotnej gruszy, która rosła na polu. Ona była świadkiem tamtej chwili - tragicznej chwili. Tak się i stało, przyjęła go, objęła i ukryła w swoim gąszczu na zawsze jego życie.

To za sprawą Rosjan, polskie ziemie były niszczone, a ludność zastraszana i wysiedlana w głąb Rosji. To kozacy objeżdżali tereny, rabowali ludność, wypędzali, palili całe wsie z plonem. Z powiatu białskopodlaskiego wywieziono w tych latach około 33 tysięcy ludności w głąb Rosji. Niemal wszystkie domy, zabudowania i plony od południowej strony drogi traktowej zostały spalone.

Nowe myśli, nowa praca, nowa organizacja czasu towarzyszyła niemal każdej chwili.

Było lato, cała rodzina Juliopolskich spała w stodole, która cudem ocalała. Bratowa Wiktorii, Marianna gotowała na dworze na ułożonym kominku przez męża Kazimierza, z cegieł pozostałych po rozwalonym kominie. Wiktoria dużo czasu spędzała z bratankami - Zofią i Franciszkiem. Dzieci woziła wózkiem zrobionym ręcznie przez Kazimierza. Była również zawsze potrzebna przy kuchni, przynosiła drewno, dokładała, mieszała w garnkach, obierała ziemniaki. Najważniejsze, że tata i jego synowie mieli zdolności ciesielskie. W swoim życiu postawili już nie jeden dom lub stodołę. Pocieszali domowników, że wkrótce zbudują nowy dom, że nie będą spali w barłogach zmieszanych z sianem i słomą. Najpierw zaczęła się zwózka drzew wcześniej wybranych w lesie, prostych, o podobnej grubości. Często mawiano: „smagłych”, bez dużej ilości sęków no i wielożywiczych. Piętrzyły się dłużyce na podwórzu, pachnące lasem i ciepłem domowym. Tata Wiktorii najczęściej zajmował się organizacją i doradztwem oraz korowaniem sosen, po czym były wkładane na wysokie kozły wcześniej przygotowane. Dwóch mężczyzn wchodziło na nie pociągając piłę do góry o dwóch na dole, pociągając piłę do dołu. Wielki kłoc drewna zamieniał się na bale, z których na zimę powstał nowy dom. Grube bale szczelnie przylegały do siebie. W miejscu złączenia powstawały małe schodki zwane węglami, po których z radością dzieci wchodziły aż pod zrab. Międzyczasie przygotowano krokwie z trochę cieńszych sosen, które należało ociosać siekierą z czterech stron. Wiktoria miała nowe zadanie - uszczelnianie włóknem konopnym ścian domu, między balami. Po wykonaniu tego zadania jeszcze zasklepiano gliną. Powstawały szare pasy, które Wiktoria malowała pędzlem wykonanym ze słomy - na białe. Szare paski zamieniały się na białe i nie przepuszczały w zimie chłodu a nadto upiększały mieszkanie.

Na zimę dom mieszkalny był gotowy do wejścia całej rodziny. Już nie pokrywali go słomą, lecz gontem. To drewniane, klinowe deseczki, ręcznie wyrabiane z wyrzynków drewna sosnowego.

Wiktoria wspominała później, że podczas budowy domu była często wysyłana pieszo do Wisznic oddalonych około 8 km - po papierosy mężczyznom tam pracującym. Właściwie utkwiło jej to w pamięci na zawsze. Przecież nigdy nie chodziła sama tak daleko jako dziewięcioletnia dziewczynka. Szła boso, poboczem szosy, zastraszana przez wyskakujące psy - włóczęgi, których wówczas nie brakowało na polach i drogach. Pieniądze były zwinięte w chusteczką i ukryte zazwyczaj w rękawie zapinanym na

guziczek. W rękach niosła specjalnie wystrugany kij, jedyny obrońca przed nieprzyjacielem. Nie mogła i nie miała odwagi się sprzeciwić poleceniom dorosłych. Nikt nie rozumiał, że cała dżująca szła pustą drogą, na której najczęściej można było spotkać żebraka i psa. Właśnie w takich chwilach przypominała swoją mamę i ogarniała ją tęsknota i głęboki smutek. Po każdym szczęśliwym powrocie do domu, domownicy dyskutowali o brakuującym sklepie we wsi. Po niedługim czasie postanowili założyć sklep spożywczy w swoim domu. Najbardziej z tego cieszyła się Wiktoria.

Powrót obrazu

W letni upalny dzień 1927 roku Wiktoria po wykonaniu prac domowych, bo taki był zwyczaj, że najpierw dostawały posiłek zwierzęta, potem domownicy. Posiliwszy się zsiadłym mlekiem i pachnącym chlebem z masłem, znowu poszła w pole. Wykonywała tam bardzo przyjemną pracę, która dawała jej psychiczne odprężenie i odpoczynek. Wrywała len ze złocistymi i pachnącymi olejem główkami. Drobnymi, ale zwinnymi rączkami, wrywała z korzeniami, małymi garstkami układała na kupeczki jednakowej wielkości. Leżały w kilku rzędach i czekały na delikatne paluszki, które jakby pieszcząc równały i wygładzały a pod koniec dnia ścisnęły przewróśłami, ustawiając małe snopeczki do góry szeleszczącymi główkami. Każda główka tuliła się do sąsiedniej, co sprawiało, że mocno stały na jednej nodze i bezpiecznie cię czuły podczas tańczącego lata, które z każdym dniem drobnymi kroczkami odchodziło. Nagle wzrok Wiktorii wybiegł daleko przed siebie, na główną ulicę Sapiechowa-Ukazy. Jej oczy pośród wielkiego welonu kurzu, który unosił się wysoko i zacierał widoczność, dostrzegły coś nadzwyczajnego. Nagle zza tego tumanu szarości wyłoniły się konie, właściwie trzy pary siwych koni, zaprzężonych para przed parą, ciągnąc powóz, na którym coraz bardziej uwidaczniał się cudowny Obraz Matki Boskiej Kodeńskiej. Jej cudowna postać i smutne oblicze, coraz bardziej promieniowały nad powozem udekorowanym kolorowymi kwiatami, wstążkami i zielonymi gałązkami. Tu i ówdzie dorośli porzucali swoje zajęcia i biegli w jej stronę, która podążała w kierunku wschodnim.

Wiktoria już kończyła siedemnaście lat i dobrze zapamiętała te cudowne chwile, właściwie zapamiętała na całe życie. Wszyscy biegli w tym kierunku. Przed obrazem klękali ze złożonymi rękami, głośno modląc się. Jednocześnie błagając o łaskę dla siebie i dla swojej rodziny. Kobiety wyciągały błagalnie ręce, szlochając zanosiły prośby do Najświętszej

Matuchny, która sama do nich przyjechała nieoczekiwanie i niespodziewanie.

Każdy miał jej coś do powiedzenia i uproszenia. Witali z wielkim entuzjazmem, wznosząc błagalne modły przed smutne oblicze Cudownej Pani Kodeńskiej.

Serce Wiktorii przenikało wielkie wzruszenie i niepojęta radość, która przesyłała ją całą, jak promyki słoneczne na bezchmurnym niebie. Konie spokojnie, pełne majestatu podążały do Kodnia. Wiktoria dowiedziała się od swego taty, że obraz ten był wywieziony w 1875 roku podczas rozbioru Polski, na rozkaz władz carskiej Rosji. Wówczas z Kodnia został wywieziony przeze wojska na Jasną Górę i umieszczony w jednej z bocznych kaplic. W tym czasie, car Rosji – Aleksander II wydał rozkaz zamknięcia w Kodniu parafialnego kościoła św. Anny. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. poczęto myśleć o przewiezieniu obrazu do Kodnia. Najpierw z Częstochowy przewieziono do Warszawy, następnie do Siedlec. Właśnie Wiktoria była naocznym świadkiem jego powrotu z Siedlec do Kodnia.

Powiadano, że w wielkiej asyście duchowieństwa, mieszkańców Kodnia i okolicznych wiosek wprowadzono do kościoła, p.w. Świętej Anny, która dokonywała wiele cudów, licznych uzdrowień, gorąco modlącym się wiernym.

Po tym wydarzeniu, opowiadano ciekawe historie o sprowadzeniu tego obrazu z Rzymu do Kodnia w XVI w. przez Mikołaja Sapiechę. Kodeńska Pani do dziś spogląda na nas z miłością, wszystkich przyjmuje, jednoczy i utwierdza w wierze.

Małżeństwo Wiktorii

Po śmierci ojca Eliasza, po niedługim czasie także bratowej Marianny, Wiktoria stała się najważniejszą gospośią w gospodarstwie Juliopolskich. Wszystkie prace domowe i nie tylko domowe były na jej głowie. Brat Kazimierz wkrótce zaczął się rozglądać za drugą żoną, która jednocześnie zastąpiłaby matkę dzieciom - Zofii i Franciszkowi. Niespełna osiemnastoletniej Wiktorii też myślano o poszukaniu dobrego i bogatego męża, który umiałby obdarzyć ją miłością, szacunkiem i docenić jej umiejętności i młode lata. Mimo, że nie miała osiemnastu lat to już trafiali się jej konkurenci. Pewnej jesiennej niedzieli zawitał w podwórzu Juliopolskich wóz zaprzężony w parę gniadych koni, tłustych i lśniących. To przyjechał kawaler ze swatami, prosić o rękę panny z tego domu. Na przednim siedzeniu siedział woźnica a na drugim z oparciem siedziało dwóch mężczyzn.

Siedzenia były wyścielone wyrazistymi dywanami.

Były to swaty z Rozwadówki, wioski oddalonej od Sapiechowa około pięć kilometrów. Kawaler i dwóch starszych mężczyzn, którzy na zmianę mówili o celu swojej wizyty. Młody chłopiec, średniego wzrostu, bardzo nieśmiały i małowówny bardzo kulturalnie przywitał się, przedstawiając się, nadmienając jednocześnie skąd pochodzi.

Rozmowa odbywała się przy stole suto zastawionym. Zwykle to świadczyło o zamożności tego domu, z którego pochodziła panna młoda. Na stole pojawiały się nowe dania, które donosiła dziewczyna gotowa do zamążpójścia. Najpierw Wiktoria przyniosła gorący bigos na baraninie, którego zapach roznosił się nie tylko w mieszkaniu ale i pod mieszkaniem, potem postawiono duszoną baraninę z czosnkiem, w innych talerzach postawiono suchą cienką kiełbasę, jak mówiono palcem napychaną. Pod koniec Wiktoria postawiła kluski ze śmietaną i twarogiem. Postawiono sól i cukier, jak kto woli, czy na słodko czy na słono. Do tego kawaler przywoził swoje trunki alkoholowe. Wiktoria podczas usługiwania była obserwowana, czy jest zgrabna i czy sprytnie się porusza. W tej sytuacji nikt jej nie wyręczył, nie doradził, ani pomógł.

Po wypiciu paru kieliszków przez swatów, mowa im się rozwiązała na dobre. Młodzieniec zachowywał się powściągliwie. Mówili o zaletach kawalera, na zmianę, raz jeden swat raz drugi. Mówili o jego pracowitości i umiejętnościach gospodarczych. Wiktoria miała dać im odpowiedź przy następnym spotkaniu, ale już tylko z kawalerem w umówionym terminie.

Po tygodniu przyjechał kawaler z takim samym zamiarem z Żeszczynki. Tym razem było inaczej. Teraz młodzieniec sam się popisował przed panną młodą. Właściwie nikogo bardzo nie dopuścił do głosu. Swoją barwną mową, ciekawym opowiadaniem, sypiąc przy tym dowcipami, wszystkich zainteresował i rozśmieszał. Wiktoria pierwszy raz w życiu tak mile była zabawiana i obdarowana przemiłymi słówkami z wielką uprzejmością i sympatią. Ponadto ów młodzieniec był bardzo przystojny i ładną miał twarz. Od razu Wiktorii na jego widok serce mocniej uderzało. Teraz odkryła, że z widzenia znała go już od dawna. Przecież pod jego domem chodziła do kościoła. Właśnie na ganku jego domu nie jeden raz w lecie nakładała buty, przedtem myjąc nogi w korycie do pojenia krów i koni. W tym długim korycie myły nogi nie jeden raz dziewczyny z Sapiechowa, Przechodu i Kalichowszczyzny, przy czym Piotr chętnie usługiwał, dolewając czystej wody i jednocześnie niepostrzeżenie zerkając okiem na nogi nieco odkryte, aby nie zamoczyć spódniczki lub sukienki.

Rzucał tajemnicze spojrzenia, już wcześniej chyba nie tylko jako dziewczynę, ale obejrzał sobie kandydatkę na żonę. Obserwował ją całą. Często zjawiał się na ganku wśród dziewcząt, rozmawiał, żartował ze wszystkimi. Czyżby ją jedną z pośród wielu sobie upodobał.

Wiktoria była bardzo zaskoczona jego wizytą, że to właśnie Piotr ją wybrał. Po uroczystym przyjęciu kawalera w domu, po niedługim czasie, zjawiał się i to bardzo często w domu Juliopolskich. Wyraźnie wyczuwał tolerancję i uznanie swojej osoby przez Wiktorię i jej domowników. Wieś Żeszczynka była jej bardziej bliska i znajoma niż inne miejscowości. Tutaj ostatnio, co niedziela chodziła do kościoła, tutaj spotykała wiele dziewcząt i chłopców, tutaj były już jej bardziej znane ścieżki. Piotr Horyniec przypadł jej do gustu, był bardzo dobrym tancerzem, oraz miał sporo hektarów, a to było może najważniejsze i to jeszcze w pobliżu domu. Właściwie Wiktoria o tym nie myślała, nawet bez tego była mocno zakochana. To była jedyna, pierwsza miłość w jej życiu.

W tym domu na raz wypadało robić dwa wesela. Wdowiec Kazimierz został z dwójką małych dzieci, który dobrze wiedział jak odejście Wiktoria to sobie nie poradzi. Postanowił jeszcze przed weselem siostry się ożenić. Była potrzebna pomoc w przygotowaniach weselnych, pracach domowych i gospodarskich.

Kazimierz postarał się szybko o drugą żonę, przywiózł z Berdziejówki, była to jeszcze panna - Anna Brodacka. Postanowili szybko wziąć ślub i zrobić małe przyjęcie weselne. Po tym ślubie zaczęto poważnie przygotowywać się do wesela Wiktorii z Piotrem. Pan młody natarczywie przynaglał wyznaczenia daty ślubu. Gdy już wszystko było ustalone, był zwyczaj robienia zakupów przez młodego - pannie młodej. Postanowiono pojechać po stroje do Piszczaca, furmanką zaprzęzoną w parę koni. Była to Wiktorii pierwsza wycieczka z ukochaną osobą do miasta odległego ok. 20km.

Ciepły jesienny dzień, kolorowe liście dodawało uroku nowożeńcom, nastrajało ich wielkim optymizmem do życia i wielką nadzieją w piękne, pełne miłości dalsze przeżycie razem na dobre i złe.

Taki panował zwyczaj, że młody finansował wszystkie stroje, jakie sobie życzyła panna młoda. Oprócz białej sukienki i białego długiego welonu, Piotr kupił Wiktorii czarne długie futerko z wytłaczanymi wzorami, trzewiki na wysokim obcasie z długimi cholewkami, sznurowanymi do końca, trzy spódnice z wełny, drobno plisowane, dwa jedwabne duże szale i jedną wielką, też czarną chustę z wielkimi frędzlami. Wiktoria nawet nigdy

nie marzyła o takim ubiorze. Czuła się wyróżniona, doceniona i kochana przez przyszłego męża. Dobiegały osiemnaste urodziny jak urządzono wielkie wesele z orkiestrą, które trwało dwa dni, jeden u panny młodej, w drugim dniu u młodego, do którego z wielką paradą przywieziono żonę. Zabrano z domu nie tylko wielki kufer z bielizną i pościelą, ponadto wielką pierzynę z piór gęsi i kilkoma poduszkami. Wiktoria sama wyhodowała w domu gęsi skubała je i pióra składała w worku. Przed weselem zorganizowano pierzaczki, na które przychodziły zaproszone kobiety do darcia pierza. Czasami przychodziły przez kilka wieczorów lub dni, aby wystarczyło na zrobienie pierzyny i poduszek. Podczas takiego zajęcia kobiety śpiewały, mężczyźni opowiadali różne dowcipy lub mówili o strachach, które rzekomo sami spotkali w swoim życiu. Ślub odbył się w kościele rzymsko-katolickim w Żeszczynce, p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego. Wiktoria od tej pory na zawsze pozostawiła swoją rodzinną wieś – Sapiechów. Przyszła do Żeszczynki za synową, dostając wiano - konia i krowę. Dano jej, żeby nigdy nikt nie powiedział, że nic nie dostała, że przyszła na czyje. Tak czasami zdarzało się, że wypominała teściowa. Dostała oprócz tego piętnaście hektarów ziemi, były to lasy, łąki i ziemia orna, ale o bardzo niskiej klasie. To ziemia piaszczysta, pełno w niej kamieni, jako pozostałość po młynie, który niegdyś męł mąkę na chleb. Wiktoria bardzo mało pamiętała ów młyn, który został spalony. W tym miejscu rosły dziewanny i dzikie rumianki.

Młodzi małżonkowie, bardzo szczęśliwi, często wyjeżdżali razem wozem - żeleźniakiem z malowanymi drabinami do rodziny Wiktorii do Bokinki Pańskiej lub do Rozwadówki - rodziny Piotra. Szczupła sylwetka Wiktorii pięknie się prezentowała w nowym ubraniu, mało a może przez nikogo we wsi nienoszonym. W zimie w czarnym futerku i w szalu przez ramię przerzuconym, latem w plisowanej spódniczce, w jedwabnej bluzeczce i w zwiewnym szalu z wytłoczonymi kwiatami. Wiktoria była bardzo dumna ze swojego oblubieńca, na którym mogła zawsze polegać i mu ufać. W tym czasie kobiety we wsi chodziły w spódnicach kratówkach, własnoręcznie utkanych na drewnianych warsztatach lub w fartuchach pasiastych obszytych kolorowymi wstążkami. Wiktoria nie umiała robić takich fartuchów. Kobiety na głowach nosiły kolorowe szalenówki. Wiktoria w takich nie chodziła. Po kilku latach teściowa nauczyła synową tkać na krosnach płótno na koszule, na frynce - ubrania, prześcieradła, worki i przeróżne dywany.

Ach ta Żeszczynka pokochała ją na zawsze. Wrosła w jej łąny zbóż, łąk, w niebo i ziemię, tak jak pokochała swojego męża Piotra. Wtopiła się

w życie tej wsi i pozostała tu do końca swojego życia. Tu przy sobie, na co dzień miała miłość, chociaż inną od tej najprawdziwszej matczynej, przecież innej nie znała. Z tą miłością żyła bezpiecznie i szczęśliwie. Czas zacierał najsmutniejsze plamy, pozostawały tylko małe wspomnienia, niewyraźne kształty przeszłości jako zawrócone w myśli chwile. Żeszczynka stała się kolebką życia rodzinnego, miłości, pragnień i nadziei.

Po roku urodził się w rodzinie Juliopolskich wymarzony synek. Dano mu na imię Jaś. Wielka radość w tym domu, nadzieja na pomoc Piotrowi w gospodarstwie. Ta radość trwała krótko. Lekarze byli bezradni. Wiktoria z ogromnym cierpieniem spoglądała na małe, i bezbronne ciało, któremu chciałaby użyć swojego życia. Serce pękało patrząc na ciężkie oddechy, które coraz czyściej się powtarzały, coraz mocniej zabierały i oddalały życie aż do ostatniego tchnienia. Wkrótce spokojnie na zawsze spoczął w ramionach swojej matki, nie dając więcej oznak życia. Wiktoria nie mogła się pogodzić z tym, co zaszło. Trzymała długo wtulone w ramionach już martwe ciało pierworodnego robaczka, mając nadzieję, że nie pozwoli mu odejść, nie pozwoli małemu serduszkowi ustać bić w małej piersi. Siedmiomiesięczny Jasio umarł z powodu wrodzonej niewydolności oddechowej.

Niespodziewani goście

Po śmierci Jasia, Wiktoria była bardzo załamana, niepokieszony ból zgasił blask z jej życia. Stroniła od sąsiadów i znajomych. Pograżona w smutku, jeszcze więcej wykonywała różnego rodzaju prac w gospodarstwie, jeszcze bardziej brała na siebie różnego rodzaju obowiązków w domu i w polu. Piotr lubił pogadać, pożartować, spotkać się ze znajomymi.

Po niedługim czasie zaświeciła mała iskierka nadziei i Wiktoria poczuła, że pod serduszką jest nowe życie, nowa radość jej życia. Jak każda młoda matka oczekuje z wielkim pragnieniem, tak i ona oczekiwała tej jedynej chwili na pojawienie się małej gwiazdeczki, słoneczka jej życia. W czerwcu 1931 roku na świat przyszły bliźniaki - dwóch wspaniałych chłopców. Poród odbył się w domu, dzieciaki odebrała babka Derlikiewiczowa. Dano im imiona Julek i Karolek.

Wszyscy członkowie rodziny bardzo się cieszyli. Piotr był szczęśliwy, że dwóch synów, to przyszłe ręce do roboty w jego wielkim gospodarstwie. Maluchy rosły z dnia na dzień, nowe nadzieje i miłość ojcowska obudziła się w młodym ojcu, młodym spadkobiercy majątku w tej rodzinie. Dziećmi

najczęściej zajmowała się babcią, matka Piotra. Wiktoria przychodziła do mieszkania, aby nakarmić piersią bliźniaków, najczęściej pracowała z Piotrem w gospodarstwie. Zdarzało się, że chłopcy mocno płakali z głodu, babcia nie mogąc się doczekać ich matki, brała swoje piersi i dawała im do ssania, chociaż były puste i podstarzałe. Dawała im na zmianę zanim się zorientował jeden, zabierała pierś, dając drugiemu. Tak było niekiedy aż do przyjścia ich mamy. Wiktoria w nocy sama opiekowała się swoimi synami. Piotr umęczony odpoczywał a ona w dwu wiklinowych kołyskach, zawieszonych u sufitu, obydwojoma rękami kołysała Karolka i Julka. Nie jedną noc spędziła na siedząco drzemiąc gotowa, aby w każdej chwili utulić z płaczu swoje małe skarby. O świcie znów musiała pójść do obrządków: dojenie krów, karmienia świń i drobiu, aby jak najwcześniej wyjść w pole do żniw lub do sianokosów. Do prac polowych często byli wynajmowani kosiarze i podbieracze. Podczas żniw szła z Piotrem w pierwszej parze dając przykład dobrej pracy najemnym, bez ociągania się, ponieważ trzeba płacić, ale za dobrą robotę. Z roku na rok bliźniacy rośli, chociaż Karolek był ciągle chorowity i często niezdolny. To właśnie on narozrabiał, a Julek był ukarany. Zdarzało się, że zza rogu mieszkania rzucali przezwiskami lub ciskali kamieniami w przechodniów idących na pole lub do kościoła. Sprytnie chowali się w głębokiej bruździe w ogrodzie lub pod brodatą miedzą, oddzielającą pola sąsiadów. Innym razem ukrywali się na strychu w słomianej stągwi lub plewie po zbożu. Byli bardzo ruchliwi przy tym psotni. Rodzice zawsze bronili, szczególnie mama, przekonując, że to nie oni, nie zawsze wiedząc, że to oni już zdążyli wszędzie oblecieć. Potrafili nawet złapać kurczaka u sąsiada i zanieść na łąkę dla pastuchów, aby upiec przy ognisku, często tym wkupując się w ich towarzystwo. Po ukończeniu siódmego roku życia rodzice posłali do polskiej szkoły, która mieściła się u Sołoduchy Adama. Podczas drogi uczniów do szkoły polskiej i rosyjskiej często dochodziło do bójek i wzajemnych przezwisk. Chłopcy uskarżali się ojcu, że na nich przezywają się, „Laszku pryczepy do dupy blaszku, będziesz Polakom” - nie zawsze chłopcy rozumieli znaczenia tych słów.

Wiktoria była wzorową gospośią, kochającą matką i dobrą żoną. Nie traciła czasu na rozmowy z kobietami – sąsiadkami, wszystkie sprawy załatwiał Piotr.

Matka Piotra zajmowała się od samego początku pilnowaniem dzieci, dlatego też nie chodziła w pole. Była kobietą twardą i stanowczą. Każde nieposłuszeństwo dzieci lub kłamstwo było karane różgą zawieszoną wysoko za szybem pieca chlebowego. Chłopcy dobrze wiedzieli, jeżeli nie

podporządkują się tej dyscyplinie, to tata wyegzekwuje pasem. Często Piotr opowiadał Wiktorii, że gdzieś daleko w świecie jest jego stryj, brat ojca. Przed pierwszą wojną światową jako człowiek wolny wyemigrował do Rosji. Od jego wyjazdu nie było żadnych wieści. Czas szybko mijał. Nagle któregoś popołudnia zjawia się stryj Tomasz i przybywa do rodzinnego domu, w którym wiele się zmieniło. W domu była młoda Wiktorcia oraz dwóch małych chłopców. Czuł się niepewnie i bardziej obco jak kiedyś przed laty. Był ciągle zamyślony i smutny. Często pytany przez domowników o przyczynę tego stanu, zbywał półsłowem lub zupełnym milczeniem. O wyjeździe nigdy nie wspominał. Ostatecznie postanowił na zawsze pozostać w Polsce. Za pieniądze przywiezione z Rosji postanowił do swojej ziemi po rodzicach dokupić jeszcze około 10 hektarów ziemi, aby było na czym gospodarować. Nadal był zamknięty w sobie, nie opowiadał nigdy o swoich przygodach za granicą. Rodzina proponowała mu założyć własną rodzinę, nawet stręczono mu odpowiednią dziewczynę na żonę. O tym nie chciał rozmawiać.

Pewnego zimowego dnia, było to przed południem, śniegiem zasypane drogi i pola, przez zamrożone szyby nie było widać świata. Na podwórzu przed domem zaskrzypiały sanie. Pod drzwiami wejściowymi zadźwięczał wesoło dzwonek uwiązany do uprząży konia. Zaciekawieni domownicy szybko wybiegli z mieszkania i stanęli na progu jak wryci. Pod drzwiami stały sanie wyjazdowe - drewno rzeźbione i malowane, zaprzężone w dwa tłuste gniade konie. Z przodu na koźle siedział w kozuchach i baraniej czapie woźnica, mocno trzymając za lejce zmarznięte i niecierpliwe konie. Na tylnym siedzeniu siedziała kobieta około trzydziestki, też w ciepłej czapie i bardzo długim futrze. Ta młoda kobieto upewniając się czy we właściwe miejsce przyjechała, bardzo powoli schodziła z sań i w tej chwili jakby spod śniegu, zjawił się mały chłopaczek opatulony całym w kozuchach, spod którego tylko świeciły mu oczy. Nie było widać pośpiechu, choć mroź trzymał nadal i zanosilo się na zamieć śniegową. W ich zachowaniu uwidaczniała się niepewność a może -ociągali się czekając na specjalne zaproszenie i powitanie, może na owacje radości z przyjazdu. Nie było tego i nie zanosilo się na coś podobnego. Woźnicy rozkazała czekać. Na zaproszenie Piotra i jego matki wolno weszła do mieszkania z 4-5 letnim dzieckiem. Wszystkich zgromadzonych w kuchni powitała „zdrastwujtie” i jakby oczami szukała kogoś wśród zgromadzonych. Widać było na jej twarzy, że nie zadawała się osobami przed nią stojącymi. Szukała oczami innej osoby, która nie stała przed nią i nie czekała na jej przyjazd. Jeszcze raz się upewniła, czy tutaj

mieszka Tomasz Horyniuk. Piotr szybkim ruchem odwrócił się i wpadł do Tomasza, który był w pokoju, przekazując wiadomość, że ma gości. Tomasz początkowo zdecydowanie odmówił spotkania się z gościem. Zaczęli nalegać a nawet zmuszać go do wyjścia z pokoju. Właściwie nie miał innego wyjścia, Tomasz niechętnie i nieskwapliwie wszedł do kuchni, wszyscy zaciekawieni czekali, co dalej będzie, aż zaniemówili z przerażenia. Na stole stały już kubeczki z gorącą kawą z mlekiem na rozgrzewkę dla niespodziewanych gości. Kobieta ciągle stała u progu, nie zdejmując ubrania, czekała na pojawienie się kogoś jej znanego w tym domu. Właściwie zmuszony przez rodzinę, stanął przed nią onieśmielony. Wówczas ona zdecydowanym i pewnym głosem kierując do Tomasza, zapytała; czy ją poznaje i tego rybionka wypowiadając w języku rosyjskim. Tomasz w zaparte, zaczął głową potrząsać zaprzeczając, że ich nie zna. Ona chyba przygotowana była na najgorsze. Z jej piersi już wyrwał się donośny głos, emocja zawładnęła ją całą. W wielkim pośpiechu rozpięła swoje futro, sięgając głęboko do piersi, wyjmując medalik zawieszony na jej szyi, mocno ściskając w ręce, uklękła przed nim pytając - poznajesz? Jeżeli nie poznajesz to przysięgnij na ten medalik! Cisza. Po krótkiej chwili chyba Tomasz zwątpił, załamał się, nie miał odwagi i siły dalej kłamać, tak bezszczerlnie zaprzeczać prosto w oczy, które patrzyły z nadzieją, może nie na wielką miłość, ale chociaż na przyjaźń. Nie miał odwagi dalej zaprzeczać patrząc na małe oczka, które miłością przeszywały jak małe ogniki serce Tomasza. Przecież tak niedawno, kilka miesięcy, jeszcze pieścił tą małą istotkę - synka, przytulał, kochał, sam nie wiedział, co weszło w niego. Rodzina przerażona tym zajściem, sama chciała zadecydować za niego nalegając, aby zaprosił do swojego pokoju ją i dziecko.

Tak się też stało, choć po wielkim uporze. Ta inteligentna, przystojna kobieta wraz z synkiem pozostała w tej rodzinie jeszcze kilka tygodni. Już układano im plany na dalsze wspólne życie w kraju Tomasza. Stało się inaczej, po długiej wspólnej naradzie młodzi postanowili razem, to znaczy we trójkę - wyjechać do jej kraju do wielkiej Rosji, w którym widziała ona lepszą przyszłość całej rodzinie. Tam w Rosji ona ma pracę, on też będzie pracować. Tutaj nie widzą przyszłości. Przed wyjazdem Tomasz zostawił oświadczenie, że oddaje ziemię Piotrowi Horyńcowi do jego powrotu. Niezwłocznie Tomasz ze swoją rodziną wyjechał do Rosji. Wyjechał na zawsze. Nigdy nie dał żadnej wiadomości swojej najbliższej rodzinie. Nie poinformował o dalszym życiu, gdzie się osiedlił, czym się zajmuje no i w ogóle o sobie. Nigdy nie przysłał wiadomości rodzinie, chociaż długo wszyscy na nią czekali.

Krótką historia wsi Żeszczynka

Wiele legend krąży o powstaniu wsi Żeszczynka. Jedne podania mówią, że nazwa pochodzi od krzewu leszczyny, której było bardzo dużo w tej okolicy. Pełno jej było nie tylko w lasach, ogrodach, ale nie brakowało przy drogach i drózkach. Przez wieś prawdopodobnie prowadziła jedna z głównych dróg handlowych na wschód przez Przechód. Nazwa tej miejscowości kiedyś brzmiała – Perechod, co oznaczało, że tędy kupcy i handlarze przewozili swoje towary w jedną i drugą stronę. Najpierw miejscowość Żeszczynka pisano – Leszczynka, później być może przez niedopatrzenie w pisowni lub mylnie odczytanie pierwszej litery zmieniła się nazwa na Rzeszczynka. Z innych źródeł dowiadujemy się, że dawno, bardzo dawno temu w miejscu wsi Żeszczynka rosły niedostępne chaszcze, szumiały zarośla i szuwary, wśród których rozpościerały się bagna i grzęzawiska, mało dostępne ludzkim stopom. Prawdopodobnie w tych miejscach ukrywała się ludność z różnych powodów. Te miejsca nazwano „reszcze”, od których nazwano wieś Rzeszczynka. W spisie z 1872 roku nazwa wsi zapisana jest przez „rz”, powiat Włodawski, gmina Romanów. Liczyła 51 domów, 1200 morgów gruntów. Wieś wchodziła w skład dóbr Wisznice z folwarkiem w Sapiechowie i Żuławie, parafia na miejscu. Według innych przekazów przed obecnym położeniem wsi Żeszczynka, tętniło życie w północnym pasie obszaru wsi - obecnej Żuławie. Mieszkańcy tej kolonii mają wiele dowodów na to, że były tam budowle. Świadczą o tym obecnie znajdowane w ziemi w wielu miejscach kamienne szczątki murów i narzędzi. Nie zostało dotychczas ustalone, z którego to jest wieku. O tym, że na Żuławie istniał folwark świadczy spotkanie Pawła Chotyńca, jako najstarszego mieszkańca wsi z prawnukami byłego właściciela – panem Lewczyńskim. Jako dojrzały mężczyźni w 1998 roku przyjechali zobaczyć miejsce życia i pracy swoich przodków. Pan Chotyńiec niewiele już pamiętał, mówił jak przez sen, przypominał, że w wieku 6 – 7 lat był wysłany przez rodziców w jakiejś sprawie do folwarku, który znajdował się w miejscu obecnych posiadłości Kalinowskich i Najdyhorów. Rosły tam podobno mało spotykane gatunki drzew, wśród których znajdowała się sadzawka. Prawdopodobnie w 1690 roku Sapicha, ówczesny właściciel Żeszczynki i okolicznych miejscowości na własny koszt wzniósł kościółek drewniany p.w. Podwyższenia Krzyża Świętego. Stał on na drugiej stronie obecnego kościoła w miejscu zabudowanie Sidoruka Jana. W tym czasie została zbudowana plebania

drewniana, po przeciwnej stronie drogi na wzgórzu, wśród starych drzew. Obecnie znajduje się ona w Skansenie w Lublinie – jako zabytek z ówczesnych lat. Ponad 250m lat temu z przyczyn niewiadomych spalił się wyżej wymieniony kościółek. W 1720 roku został wzniesiony obecny kościół w formie kaplicy, konstrukcji zrębowej oraz drewniana dzwonnica. Prawdopodobnie uposażył ją ówczesny właściciel Żeszczynki – Władysław Józefat Sapiecha. Była to cerkiew greko – katolicka. W 1791 roku została odrestaurowana i powiększona. Od 1875 roku stała się cerkwią prawosławną. W 1919 roku została zamieniona na kościół katolicki. W latach 1926 – 49 częściowo zostały zatarte cechy stylowe. Ołtarz główny z XVIII wieku zdekompletowany z barokowym krucyfiksem z tego okresu. W jednym z rokokowych ołtarzy bocznych był obraz Matki Boskiej Hodegetrii Jerozolimskiej, zaś w drugim ołtarzu bocznym ikona Chrystusa Pantokratora.

Zaborcy starali się naród polski zrusyfikować nawet przy pomocy duchowieństwa. Popi otrzymywali duże pałacie ziemi, które przynosiły im olbrzymie dochody. Robili wszystko, aby wierni unici przeszli na prawosławie. Aby zmienić narodowość zakładano ukraińskie szkoły. W miejscu domu p. Dokudowicz była zbudowana szkoła „Naczelnoje Uczyliszcze” o czterech klasach. Oprócz pensji nadawano nauczycielowi ziemię. W zimie uczył, latem gospodarzył. Lekcje trzeba było umieć na pamięć, w przeciwnym przypadku nauczyciel bił linią lub stawiał na grycie. Uczono w tej szkole języka ukraińskiego, historii rosyjskiej, matematyki, geografii ogólnej i Bożego Zakonu, którego uczył pop. W karaniu uczniów przewyższał nauczycieli. Przetrwała ona do momentu ewakuacji ludności w głąb Rosji z obawy przed Niemcami. W tym też okresie cała wieś została spalona. W Żeszczynce była również karczma, która była własnością Żydów. Około 1903 roku rozpadła się, ponieważ nikt nie przeprowadzał remontów. Żydzi wyemigrowali w nieznane, wcześniej sprzedając plac, na którym stały szopy, stajnie i kuźnia – Kazimierzowi Zawadzkiemu. Prowadził on rzemiosło kowalskie zarabiając w ten sposób na utrzymanie wielodzietnej rodziny. Jednym z jego synów był Władysław Zawadzki, który zdobył wykształcenie inż. geodety w Warszawie. Podczas II Wojny Światowej prowadził tajne nauczanie młodzieży w Żeszczynce. Po wojnie to on właśnie był pierwszym organizatorem LO w Wisznicach i jego pierwszym dyrektorem. W tym czasie wydzierżawił on ziemię Michałowi Chotyńcowi potem Stanisławowi Zdolskiemu, pani Rogoźnickiej z Huszczy. Z dawnych zabudowań pozostała kuźnia. Od II Wojny Światowej nie spełniała swojej roli. W styczniu 2004 roku od Anny Makarewicz wszystkie posiadłości

(kolonia Żeszczynki), u pana Władysława Danieluka. Pierwszym nauczycielem był Michał Gniot, który mieszkał u Jana Derlikiewicza.¹⁰

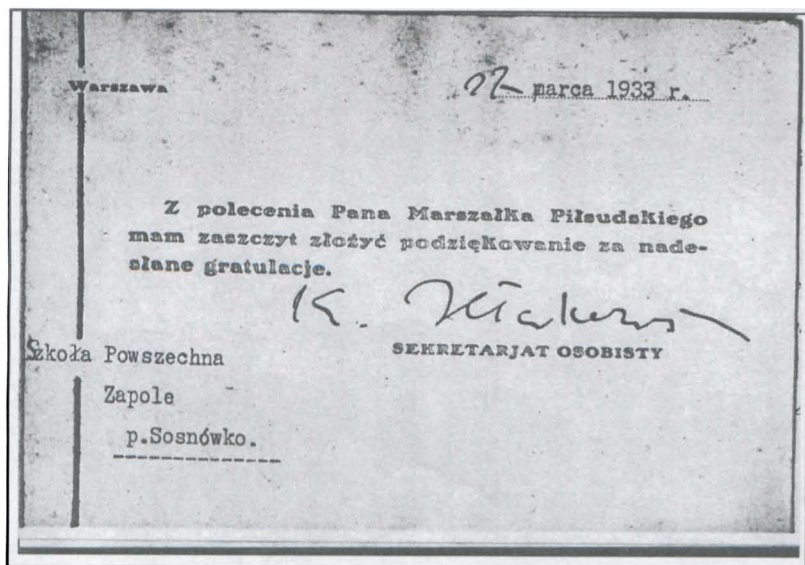
W dniu 23 sierpnia 1926 roku przeniesiono nauczyciela z Rozwadowki z dwu klas publicznej szkoły powszechnej, pana Józefa Sobiepana, do jednoklasowej publicznej szkoły powszechnej w Żeszczynce, gmina Romanów. Wówczas szkoła została przeniesiona z Zapola do wsi, do Jana Chotyńca, który w międzyczasie wykończył pomieszczenie w swoim domu za pieniądze otrzymane z gminy Romanów. Była to pierwsza szkoła polska we wsi Żeszczynka, do której uczęszczali uczniowie z Żeszczynki, Sapiechowa, Przechodu, Aleksandrowa oraz kolonii: Żuława, Zady i Pieńki. W roku 1929/30 zorganizowano dwuklasową szkołę powszechną, która mieściła się u Jana Chotyńca. Ponadto została zorganizowana szkoła w Sapiechowie u Karola Juchimiuka. Szóstego stycznia 1931 roku urządzono dzieciom szkolnym choinkę noworoczną z udziałem nauczycieli i rodziców. Podczas tej choinki przygrywał na skrzypcach Grzegorz Szczodrak. Pod koniec tej niezwykle uroczystości dzieci otrzymały jednakowe prezenty, w których znajdowały się ciastka i cukierki. Już w tym roku szkolnym, szkoła była o pięciu oddziałach i liczyła 145 uczniów. Na podstawie książki głównej promowanych było 74% wszystkich dzieci. W roku 1930/31 dozór szkolny spełniali:

1. Ks. Kazimierz Izdebki – główny opiekun,
2. Józef Sobiepan, później Halina Samolikówna – nauczycielka,
3. Grzegorz Sozoniuk – członek dozoru z Przechodu,
4. Karol Jachimiuk – członek dozoru z Sapiechowa,
5. Piotr Szajda – członek dozoru z Aleksandrowa.

Od początku szkoły polskiej, podczas pracy dydaktyczno – wychowawczej wprowadzone były elementy wychowania patriotycznego. Dzień 19 marca 1933 roku był dniem wolnym od zajęć lekcyjnych ze względu na imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego. W tym dniu przygotowano uroczystą akademię oraz dzieci podjęły propozycje wysłania życzeń panu Marszałkowi. Z tej okazji opracowano treść wspólnie z gronem nauczycielskim. Było to podziękowanie za jego czyny i poświęcenie się dla Polski. Po kilku dniach z osobistej kancelarii pana Marszałka przyszło podziękowanie za życzenia, które do dziś znajdują się w kronice szkolnej

¹⁰ Na podstawie kroniki w Żeszczynce oraz rozmowy z mieszkańcami wsi Żeszczynka.

w Żeszczynce. W kwietniu 1933 roku obchodzono również uroczyste –
Dzień Morza.



Ta uroczystość odbyła się po niedzielnym nabożeństwie. Na program
złożyły się:

- deklamacja wierszy;
- piosenki o morzu;
- referat nauczycielki p. Samolikówniej.

Następna uroczystość w szkole to była zw. „Jajkiem”. Wspólne
dzielenie się jajkiem nauczycieli z dziećmi, po czym odbyło się
przedstawienie pt. „Wyzwolenie Wilna”, z którego dochód przeznaczono na
zakup encyklopedii – „Świat i Życie”. Również uroczystości obchodzono
dnia 3 maja. Po nabożeństwie w kościele dzieci przed domem, w którym była
świetlica, mówiły wiersze, śpiewały piosenki „3 Maj”, „Na warszawskim
ryнку”, „Pieśń Koleżeńska”. Każda uroczystość państwowa kończyła się
odśpiewaniem „Roty”. Szczególnie uroczystości odbyły się zakończenie roku
szkolnego 1932/33. Nauczyciele, dzieci, młodzież z Koła Wiejskiego

przygotowali występy. Zaś rodzice przygotowali poczęstunek (zachowały się zdjęcia z tej uroczystości).



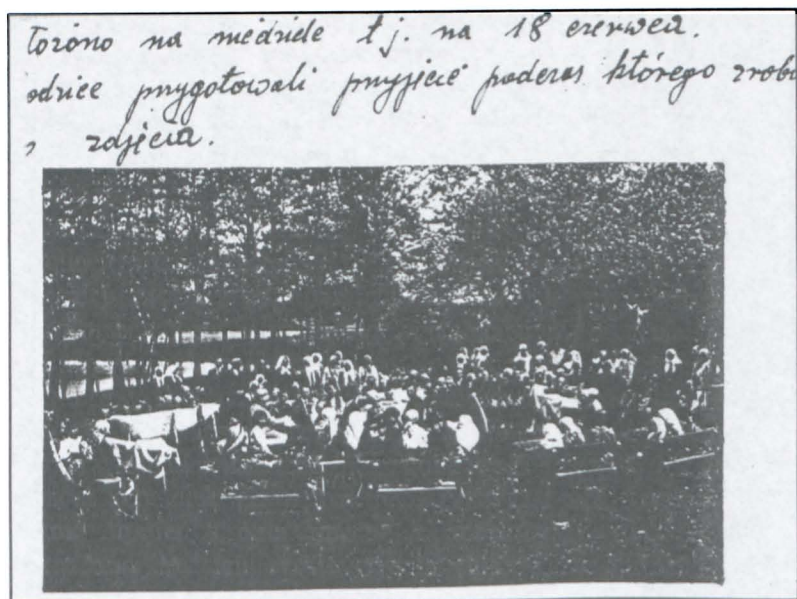
1934/35

Rok szkolny rozpoczął się dnia 20 sierpnia nabożeństwem w miejscowym kościele. Zaszły zmiany personalne w gronie tejże szkoły nauczycielstwa. Mianowicie: Antoni Marjan p.o. kierownika tejże szkoły został przeniesiony na własną prośbę, do Piesszowoli. Na stanowisko nauczyciela w Szkole Żeszczynki został mianowany Włodzimierz Małec, nauczyciel kontraktowy z Olszyna - Lub.
Praca w Szkole potoczyła się zwykłym trybem. Do szkoły na początku roku szkolnego 20. VIII 1934/35 zostało zapisane 104 dzieci w tym do I 26, do II 27, do III 32 i do IV 19, razem chłopców 60 a dziewczynek 44. Kosunek narodowościowy 63 polaków rymsko-katolików i 41 prawosławnych, wśród prawosławnych dwu dzieci jest moralnie zaniedbanych przez dom.



W roku szkolnym 1933/34 najważniejszym wydarzeniem w dziejach wsi i działalności szkolnej był odpust w parafii Żeszczynka. Piękna pogoda od samego rana, słoneczny bezchmurny i bezwietrzny dzień. Po południu wiatr przyniósł wiele deszczowych chmur i zaczął samowolnie hulać przywołując

burzę i deszcz. Ciemne chmury zasłaniały słoneczne niebo. Pojawiły się gdzieś niegdyś małe światełka lamp naftowych, rozjaśniając okna domów, w których zgromadziły się członkowie rodzin. Nieco krótszy wrześniey dzień został jeszcze wcześniej zasłonięty granatową kurtyną. Żałosne wycie wiatru nabierało w sile, wprowadzając mieszkańców w stan zagrożenia i strachu. Nagle ni stąd, ni zowąd pojawiła się wielka jasność oświetlająca całą wieś. Błyskawice, burza z wyładowaniami atmosferycznymi i rżęsisty deszcz zupełnie sparaliżowały mieszkańców. Pożar wznagał się we wsi. Niebo również stawało się czerwone z przerażenia. Wiatr unosił wianki iskier z budynku na budynek. Przerażona ludność przybyła z Sapiechowa i Przechodu. Głównym ich celem było ratowanie kościoła. Widok był okropny, inwentarz, którego nie zdążono wypuścić, wydawał żałosne głosy. Przeraźliwe wycie zwierząt oraz zawrodoenie mieszkańców po utracie swoich domostw, dobytku i zbiorów stwarzało wielkie piekło na ziemi. Pożar zniszczył 21 domów mieszkalnych i kilka gospodarstw ze zbiorami. Kościół i przynależne mu zabudowania wspólnymi siłami zostały uratowane. W następnym dniu lekcję w szkole się nie odbyły. Dzieci nie przyszły na zajęcia, ponieważ większość utraciła swoje przybory szkolne, ubranie oraz przeżyła wielką trwogę na widok żywiołu, który trawił wszystko, co spotkał na swojej drodze.



W tym samym roku szkolnym uroczyscie obchodzono 15 rocznicę Odzyskania Niepodległości. Dzieci recytowały wiersze: „Dziś Polsko twoje imieniny”, „Nie wyrzecie” śpiewały pieśni „Pierwsza Brygada”, „Jedzie, jedzie na kasztance”. Nauczyciel wygłosił referat na temat „Rocznica odzyskania niepodległości”, „Znaczenie narodowych świąt”. Następne imieniny Józefa Piłsudskiego obchodzono również bardzo uroczyscie, ale bez nabożeństwa w kościele, ponieważ ks. Kazimierz Izdebki nie przybył do kościoła. Od dawna był źle nastawiony w stosunku do nauczycieli. Podczas kazań starał się udowodnić brak kompetencji w nauczaniu i wychowaniu dzieci. Mimo to jego kazania nie umniejszały autorytetu nauczycielom a nawet przynosiły odwrotne skutki. Jego kazania zniechęcały ludzi do kościoła. Wkrótce społeczeństwo dowiedziało się, że on za karę został skierowany do parafii w Żeszczynce, za nieodpowiednie wcześniejsze zachowanie w poprzedniej parafii. Dzień 13 maja 1935 roku okrył żałobą cały kraj. W tym dniu zmarł marszałek Józef Piłsudski. Uroczystość żałobna odbyła się w gminie Motwica. Pogadankę wygłoszoną przez władze gminy poprzedziła chwila milczenia. W roku szkolnym 1935/36 uroczyscie obchodzono 3 maja – dzień uchwalenia konstytucji, oraz rocznicę śmierci Marszałka. W tym dniu dziatwa szkolna i społeczeństwo miejscowe uroczyscie obchodziło dziesięciolecie władzy Prezydenta Ignacego Mościckiego. Również 11 listopada 1936 roku obchodzono w szkole Odzyskanie Niepodległości. Społeczeństwo w podświadomości miało zagrożenie i strach przed wojną. W roku szkolnym 1939/40 szkoła o czterech klasach, której kierownikiem był Kazimierz Czyżewski, mieściła się w domu Sołoduchy Joachima. W chwili wybuchu wojny nauczyciel wyjeżdża a na jego miejsce przyjeżdża pani Moszkowska. Wówczas nie było podręczników, nauczanie odbywało się z Płomyczków i Płomyków. Okupant uznał, że podręczniki polskie uczą w duchu polskości i są za bardzo patriotyczne. Zniknęła geografia i historia polska. Społeczeństwo pomagało jak mogło, aby nauczycielka mogła żyć. Pobory równe były – dwa kilogramy słoniny. Nauczycielka niepewna jutra, pracowała w niepewnych warunkach niemal potajemnie i wkrótce wyjechała w rodzinne strony. W niedzielę radzieckie bombowce stoczyły walkę z niemieckimi lekkimi samolotami. Jeden radziecki padł w Wisznicach, a drugi w Żeszczynce nieopodal cmentarza. W roku 1941/42 brak szkoły i brak nauczycieli we wsi sprawiło rozłam, wśród mieszkańców wsi. Ukraińcom odżyły uprawnienia i zaczęli zakładać swoje szkoły. Mieszkańcy wsi Żeszczynka pod wpływem agitacji opowiedzieli się w 40% za przynależnością do szkoły ukraińskiej, która

mieściła się u Sołoduchy Joachima (obecny dom, p. Stolarczyka). Rodzice, którzy chcieli, aby ich dzieci uczyły się języka polskiego w porozumieniu z Inspektorem we Włodawie przywieźli nocą nauczycielkę Julię Mazutykową. Mieszkała ona u Chotyńca Jana. Polska szkoła mieściła się u Sołoduchy Adama. Do polskiej szkoły chodziły dzieci z Sapiechowa, Żuławy i części Żeszczynka. Nauczycielka wytrwale spełniała swoje zadania. Rodzice przynosili z domu mleko, śmietanę, słoninę, masło, twaróg, mąkę. Dzieci jednej i drugiej szkoły często wdawali się w bójki, rzucając przy tym przezwiskami, nie zawsze wiedząc, co znaczą np.: lachy, bulbowce. W 1943 roku Niemcy ponieśli klęskę, piętnowała się brutalność okupanta. W tym czasie zostały wystrzelane rodziny: Sozoników, Ostrowskich, Hulewskich i na Żuławie Niedźwiedzkich – za współpracę z partyzantką. Nauka w szkole w Żeszczynce nadal odbywała się, z tym, że do polskiej szkoły uczęszczało coraz więcej dzieci. W 1944 roku ukraińska szkoła przestała zupełnie istnieć. Wśród społeczeństwa odradzała się nadzieja odzyskania wolności - mimo, że na wschodzie niepokojąco świeciły rakiety. Samoloty w dalszym ciągu dokonywały nalotów. W 1944 roku w lipcu Żeszczynka i okoliczne miejscowości święciły dzień wyzwolenia. Nauczycielka - Julia Mazurkiewicz niezmordowanie 1 września 1944 roku rozpoczęła rok szkolny. Bardzo uroczysto obchodzono 9 maja 1945 roku jako dzień zupełnego upadku faszyzmu i całkowite zakończenie II Wojny Światowej. Podczas wojny w Żeszczynce, we własnym mieszkaniu prowadził tajne nauczanie Władysław Zawadzki, na które uczęszczały następujące osoby, przeważnie z Żuławy: Najdyhor Mieczysław i Feliksa, Niedźwiedzia Kazimiera, Jeruzalski Kazimierz, Najdyhor Danuta i Tychoniewicz Zbigniew.

Przeżycia wojenne

Karolek i Julek z małych brzdąców wyrastali na wspaniałych chłopców. W lecie pomagali w gospodarstwie. Najbardziej ulubionym zajęciem było pasienie krów na pastwisku. Tam spotykali wielu chłopców i razem cieszyli się samowolą na zielonej trawie i pod błękitnym niebem. Wówczas różne pomysły przychodziły do głowy. Był początek czerwca, Wiktoria niewiele pomagała w pracach polowych, np. sianokosach, ponieważ spodziewała się dziecka. W domu przy pomocy „babki” przyszła na świat wymarzona o długich czarnych włosach dorodna dziewczynka. Był to rok 1940, trwała wojna. Czas bardzo niebezpieczny, nie tylko dorosłym, ale i dzieciom. Dano jej na imię Stefania. Zdrowa córeczka rosła jak na

drożdżach i była oczkiem w tej rodzinie. Wszyscy zaglądali do maleństwa. Ona wszystkich witała radosnym uśmiechem, kręcąc główką i machając rączkami i nóżkami. Pewnego niebezpiecznego dnia, przyszedł do domu Horyńców, najbogatszy gospodarz w Żeszczynce, sołtys Jan Szołucha. Oznajmił on, że w ich domu zamieszkają Niemcy, ponieważ takie było ich życzenie. Ten dom im odpowiadał ze względu na jego położenie; rozwidlenie dróg. Niemcy chcieli mieć na uwadze wszystkich, którzy będą przechodzili tą drogą. Wcale to nie było na rękę Horyńcom, ponieważ siedmioosobowa rodzina musiała się pomieścić w jednym pokoju. Właściwie był to początek lata, mężczyźni mogli spać w stodole na świeżym pachnącym sianie. Piotr najczęściej z najemnikiem spali w spichlerzu w zasiekach, które jeszcze były puste. Mała Stefania była płaksywa, co drażniło Niemców. Jednego z nich, nazywali Karolkiem, pochodził ze Śląska. Podchodził wówczas do małej dziewczynki, uśmiechał się, pokazywał latarkę kieszonkową z kolorowymi światełkami. Mało kiedy to zabawiło ale jeszcze bardziej potęgowało płacz. Obca twarz, wielka czapka odstraszała małą. Codzienny strach, napięcie psychiczne i nerwowe udzielało się małemu dziecku, które przecież poczęło się podczas wojny, podczas niebezpiecznych nocy i dni pełnych strachu i grozy. W domu Horyńców mieszkali Niemcy do chwili wymordowania rodziny Sozoniuków. Po tragicznym zajściu we wsi wszyscy byli bardzo wstrząśnięci. Domownicy tylko ze strachem spoglądali na siebie, nie mogli nawet swobodnie rozmawiać między sobą. Starali się ich nie spotykać, co nie było łatwe mieszkając w jednym domu. Rankiem cała rodzina innym wyjściem szła do swoich obowiązków, tylko babcia zostawała w domu z małą Stefanią. Od kiedy Niemcy przenieśli się do pustego domu spadł im kamień z serca. Stefania zapamiętała schron wykopany w ziemi i zamaskowany z wierzchu, pokryty zieloną darnią, tylko małym wejściem można było wejść do środka. Właśnie wchodzenie i wychodzenie sprawiło wiele radości, a przebywanie było wspianą zabawą. To wcale nie cieszyło Karolka i Julka. Mieli już ponad dziesięć lat i bardziej wszystko rozumieli, bardziej zdawali sprawę z niebezpieczeństwa wojny. Pewnego razu wszyscy poszli w pole, tylko babcia z wnuczką zostały w domu. Przez szczelinę zamkniętych okiennic babcia zobaczyła niemiecki samochód ciężarowy zajeżdżający na podwórze. W jednej chwili wzięła Stefanię na ręce i zaczęła ciągnąć po drabinie na strych. Jedną ręką mocno trzymała dziecko, a drugą szczebel drabiny, drżące nogi ustawały w górze, a ręce opadały z sił i ze strachu. Chciała się babcia ukryć, zaczęła pomagać sobie zębami chwytając mocno za sukienkę, skrywając się w plewie po zbożu. Te miękkie łuski

wszędzie wchodziły: za koszulę, we włosy i oczy. Podczas płaczu dziecka babcia zatykała buzię i szeptała po swojemu; „mówczy”. Przez szczelinę pod dachem, spod którego wskakiwały promyki słońca babcia obserwowała, co się działo na podwórzu. Na samochodzie zauważyła pełno butów różnego rodzaju, ubrań i innej odzieży. Walili do drzwi, chodzili dookoła domu, stali, naradzali się i w końcu odjechali. Babcia gorąco modliła się, aby nie weszli do środka domu i aby w tym czasie nie wrócili z pola Piotr z Wiktoria i Karolek z Julkiem. W miejscu gdzie obecnie, w Żeszczynce stoi Remiza Strażacka i sklep wiejski, stały zabudowania Sozoniuków i Hulewskich. W miejscu domu Kazimierza Haraha stał mały domek rodziny Ostrowskich. Młody Paweł Hulewski pojął za żonę po sąsiedzku najstarszą córkę Sozoniuków. Był on człowiekiem konfliktowym, czego dowodem były konflikty z proboszczem parafii Żeszczynka, ks. Leśniewskim. Ziemia parafialna graniczyła z ziemią ojca Pawła Hulewskiego. Ciągłe były nieporozumienia o skibę ziemi. Raz oddorywał jeden, a potem drugi do siebie. Paweł Hulewski po wkroczeni sowietów założył w Żeszczynce Komitet Rewolucyjny na czele, którego stanął sam. Banda pod jego dowództwem dokuczała okolicznej ludności oraz była nasyłana na miejscowego księdza, który często musiał się chować lub uciekać z plebani. Przebierał się za kobietę i stawał do kobiet kopiących ziemniaki, aby zmylić tych, którzy byli na jego nasłani. Sowietci zabierali krowy, konie od miejscowej ludności, często wskazanych przez Hulewskiego. Ksiądz Leśniewski w obawie przed nimi ukrył swoje krowy w ilości pięć sztuk u Marcina Niedźwieckiego na Żuławie, który wówczas był członkiem Rady Parafialnej. Za przechowanie i opiekę obiecał mu podarować jedną krowę. Później jak się okazało dał mu, ale tylko małego cielaczka, za którego też musiał zapłacić. Członkowie „rewkomu” pod dowództwem Hulewskiego zajmowali się również wyłapywaniem polskich żołnierzy. Obnażali ich z płaszczy i mundurów. Zamaskowani przychodzili w nocy do domów dowiadując się, że żołnierz przyszedł na urlop zabierając całe wyposażenie wojskowe. Po wkroczeniu Niemców żandarmeria niemiecka w Wisznicach na podstawie listy „rewkomu” z Żeszczynki dokonała obławy na trzy rodziny: Hulewskich, Sozoniuków i Ostrowskich. Żona Hulewskiego ze swoim synkiem ciągle przybywała u swoich rodziców, ponieważ męża ciągle nie było w domu. Zjawiał się nocą, aby zmienić bieliznę i znowu zniknął na całe tygodnie. Niemcy kilkakrotnie przychodzili do Sozoniuków, aby wskazali gdzie jest ich zięć to ocalałe cała rodzina Hulewskich i Sozoniuków. Żona ani rodzina nie miała odwagi tego zrobić, nie przepuszczając, że

Niemcy mogą tak postąpić okrutnie. Pewnego letniego poranka rozległa się straszna strzelanina we wsi. Niemcy zniemacka wtargnęli do domu Sozoniuków i kazali się ubrać w najładniejsze ubranie i wyjść na podwórze. Żonie Hulewskiego kazali iść z czteroletnim synkiem do swojego domu. Wszystkim kazali iść w stronę północną, w kierunku łąk i pól z dojrzewającym zbożem i pachnącą trawą. Dwie najstarsze panny ubrały się w spódnice kolorowe paski i kolorowe szalenówki na głowach. Szły w kierunku łąk z rękami założonymi nawzajem na ramiona, tuląc się do siebie. Reszta rozbiegła się po podwórzu w różne strony. Matka z dwojgiem dzieci została zastrzelona od pierwszego wystrzału. Do Hanki i Marysi Niemcy zmuszeni byli mierzyć strzał kilkakrotnie. Poprzestrzelali ręce i nogi, aż w końcu upadły obie razem trzymając się nawzajem za szyję. Po dziewczętach została zastrzelona babka. Natomiast ojciec chyba miał więcej siły, aby dobiec do łąki i upadł w trawę i gdyby tak dłużej leżał to by ocalał. Kiedy chciał doczołgać się do najbliższego zboża został zauważony i w tym czasie padł celny strzał. Żona Hulewskiego ze swoim synkiem leżała na swoim podwórzu. W tym samym dniu zastrzelono żonę Ostrowskiego, matkę i dwoje dzieci. Paweł Hulewski w dalszym ciągu przewodził bandzie rabunkowej utworzonej z żydów, zbiegów sowieckich i miejscowych nieudaczników. Natomiast młody Ostrowski jako jedyny, który pozostał w rodzinie też ukrywał się w lesie. Gdy wszystko przycichło, następnej wiosny przez kogoś został wytopiony i schwycony przez Niemców w kopcu z ziemniakami i też zastrzelony.

Rok 1943, czas wojny, czas niespokojnych dni i nocy – opowiada Maria Świstoniuk ze łzami w oczach. Miała wówczas szesnaście lat i była tylko z tatą. Jej mama zmarła jeszcze przed wojną, gdy miała może tylko trzy lata. Tylko z ojcem prowadziła gospodarstwo domowe i rolne. W domu musiała o wszystko zadbać, gotować, karmić zwierzęta, piec chleb i jeszcze pójść w pole. Brat Marii, starszy, usamodzielniał się na ojcowiznie. Pod lasem za szosą na swojej działce postawił drewniane mieszkanie. Od czasu do czasu, ktoś pukał do okna jego domu lub drzwi. To ktoś, komu życie leśne już zbrzydło, nacieszył się też dowolni beztróskim śpiewem ptaków i tęsknym szumem drzew. Tym razem był to zbiegły z niewoli niemieckiej oficer sowiecki – Politrak. Jan w domu był ze swoją czteroletnią córeczką Haneczką. Międzyczasie z domu wyszła żona do wsi, aby sprzedać w sklepie jaja i zrobić zakupy. W jednej chwili jak z pod ziemi dom został otoczony przez Niemców. Przebywający tam oficer rosyjski Politrak błyskawicznym susem wskoczył na strych domu, zanim Niemcy weszli do sieni już on z góry

zrzucał granaty, aby ich zaskoczyć i odstraszyć. W tym zamieszaniu udało mu się uciec rowem do lasu. Natomiast Jan szybkim ruchem zdążył wyrzucić przez okno swoją małą córeczkę, nakazując iść prosto do wsi. Sam w tym czasie też zbiegł czołgając się rowem, który prowadził do lasu. Mała Haneczka minęła się w drodze ze swoją mamą. Nie spotkały się już nigdy więcej ze sobą. W tym czasie żona Jana podeszła pod dom oznajmiając, że pochodzi z tego domu i tutaj zostawiła swoją jedyną córeczkę. Niemcy podpalili jej dom i bezdusznie wepchnęli do płonącego ogniska, które w jednej chwili pochłonęło młode ciało kobiety. Wówczas został spalony pod lasem dom Pukisiów i Maksymiuków aby nikt nigdy tam nie mógł się ukryć. Na drugi dzień – mówi Maria Świstoniuk znalazła szczątki kości kręgosłupa, przy którym zachował się skrawek kolorowej bluzeczki, którą nosiła jej bratowa. Od tej pory Jan nie miał gdzie wracać. Małą Haneczką opiekowała się siostra Maria, która też jeszcze potrzebowała pomocy i opieki. Jan Kuryło postanowił się zemścić na zbrodniarzach hitlerowskich. Aby utrudnić im w nieludzkim obchodzeniu się z ludnością polską, żydowską i rosyjską poszedł też do lasu. Chodził z partyzantką sowiecką pod ich dowództwem. Wykorzystywali różne okazje napadając na oddziały hitlerowskie. Wykonywali wiele zamachów na wysokich urzędników, likwidowali agentów gestapo, szefów policji SS. Walka partyzantów swoim działaniem przyczyniała się do wielkich strat oraz ożywiła rozwój zbrojnego sprzeciwu w całym kraju. Jan – opowiada siostra – jeden raz w tygodniu w nocy pukał potajemnie do okna, przychodził tylko na chwilkę, przedstawiał swoje potrzeby i znikał. Maria wynosiła mu za stodołę ubranie, czystą bieliznę, jedzenie i picie. Strach paraliżował młode dziewczátko. Zdawała sprawę, że lada dzień, lub nocą mogą przyjść i spalić dom, albo rozstrzelać. Nie widywała go w innych okolicznościach przez dwa lata (1942 – 44). Strach przeszywał jej młode serce, każdej nocy, ale chęć pomocy bratu i miłość do niego, wszystko przewyciężała. Dzisiaj Maria jako osiemdziesięcio letnia kobieta, jako matka trzech córek i babcia dziewięciu wnucząt wspomina z wielkim przejęciem i przeżyciem te straszne czasy. Dziękuje Bogu, że przeżyła i wychowała małą bratanicę i własne dzieci. Od czasów zakończenia II Wojny Światowej kilka razy w roku szkolnym, dzieci wraz z nauczycielami odwiedzają zbiorowe mogiły jako ofiary bestialsko zamordowanych rodzin w Żeszczynce, jako miejsce pamięci narodowej, utrwalone na zawsze w pamięci dziadków i pradziadków. Po tych wstrząsających przeżyciach, Niemcy w dalszym ciągu nie dawali spokoju mieszkańcom wsi Żeszczynka. Pragnęli jak najszybciej zlikwidować ludzi,

którzy przysparzali im zagrożenie. Pewnego zimowego poranka, Niemcy zakazali sołtysowi zebrać we wsi stare ubrania i czapki różnego rodzaju. Zaplanowali to wykorzystać na przebranie się w celu zrobienie zwiadu w domach położonych na drugim krańcu lasu na Kruszyńcu. We wsi byli i tacy, którzy donosili Niemcom, kto współpracuje z partyzantką. Niemcy zanim przeprowadzili egzekucje, chcieli dokładnie sprawdzić i upewnić się, że tak jest. Zainteresowani byli kobietą o nazwisku Kruk zw. „Żaczką” mieszkającą pod lasem. Niemcy kilka razy przebierali się za kobietę lub mężczyznę pomagając ściągnąć łup z lasu a nawet pomagali robić kaszanke ze świnia z zabranego chłopu ze wsi. Kiedy Niemcy byli pewni o jej poczynaniach złapali ją i zamknęli w piwnicy w pustym domu po Sozoniukach. Przesiedziała tam jedną noc. W środku nocy ucieka i przychodzi do Marii Horyniuk, matki Piotra prosząc o poradę. Przestraszona i zalekniona błagała, co ma robić dalej. Maria, sędziwa kobieta umiała przewidzieć lub mądrze poradzić. Powiedziała: idź sobie gdzie ciebie oczy poniosą, nie wracaj więcej do domu ani do rodziny i do znajomych. Tam idź żebyś była pewna, że cię nie odnajdą. Żaczka wahala się – „może pójdę i wyniosę z domu do lasu, co ważniejsze i wtedy się skryję”. Maria odradzała i nalegała, żeby nie szła do domu, gdziekolwiek, aby nie do domu. Wyszła i zdecydowanie udała się do swojego domu. Po wejściu dom został otoczony z każdej strony i spalony. Ona złapana i znowu uwięziona w piwnicy u Sozoniuków do następnego dnia, ale pod wzmożoną ochroną. Rankiem kazali przywieźć jej dwoje dzieci od Wołoszuka z Przechodu. Tego poranka Julek z Karolkiem poganali konie w kieracie u Klimiuków, który poruszał maszynę do młocki tzn. sztychtówkę. Na ich oczach wyprowadzili Żaczkę wraz z jej dziećmi i kazali im iść w kierunku bagna. Chłopcom serce zamierało ze strachu, nogi się ugiwały, kiedy to na ich oczach wymierzono i oddano kilkakrotnie strzały zanim drobne zupełnie niewinne małe ciała padły do wody bagiennej na oczach matki. Leżały tam parę lat, aż po wojnie ekshumowano ich zwłoki na cmentarz. Po latach już jako dorośli chłopcy przypominali jak drobne kostki z częstkami garderoby układano do trumny i przewieziono na cmentarz. Tuż po wojnie ten bezwzględny przywódca p. Hulewski partyzant, z którego poręki zginęło wiele rodzin i niewinnych dzieci, stanął na straży PRL-u. Paweł Hulewski jako komendant MO na posterunku w Kotwicy, powierzył mu Urząd Bezpieczeństwa we Włodawie. Zakazał on furmankę u sołtysa z Przechodu do przewiezienia milicji do Motwicy. Wyznaczony był Maksym Hałaburda z Przechodu. Podczas drogi w lesie pod Sosnówką wyskoczyli znienacka uzbrojeni w karabiny. Była to

zasadzka na komendanta Hulewskiego. Zastrzelili go na miejscu. Jego kolega został podstrzelony, natomiast woźnicy przestrelili rękę. Utracił ją na zawsze. Sprawcy tego wypadku udzielili nawet pierwszej pomocy rannym. Prawdopodobnie byli to ludzie, którym Hulewski wyrządził wiele zła. To były porachunki za wcześniejsze jego poczynania.

Piotr wspominał

Okupant starał się w różnorodny sposób eksploatować gospodarkę pobliskiej wsi – wspominał Piotr. 1940 roku do gminy przyszło zarządzenie o kontyngentach, które były rygorystycznie egzekwowane od ludności polskiej przez Niemców. Ludność zmuszona oddawać zboże, paszę, mleko, tłuszcze, zwierzęta rzeźne. Ponadto rolnicy mieli przydzielone na osobę karty przemiałowe, z czego część mąki zabierał okupant. Z każdym rokiem nakładano coraz to większe kontyngenty, stosując ostre rygory w rozliczeniu, grożąc aresztem, więzieniem lub zsyłką do obozu pracy. Pod groźbą kary śmierci nie wolno było rolnikom dokonywać samodzielnego uboju. Kilkunastoosobowy posterunek żandarmerii miał swą siedzibę w Wisznicach w murowanej szkole podstawowej. Z bardzo okrutnych poczynąń byli znani: Geryng, Messal i Pudel wyróżniający się wielkim okrucieństwem.

Piotr wspominał te czasy ze smutkiem. Za odstawienie wspomnianych kontyngentów dostawał bony, za które można było kupić naftę, materiały włókiennicze, papierosy, skóry, proszek do prania, naczynia, najwięcej wódki. Piotr z wykupem alkoholu nie spieszył się, odkładał na potem. Aby zrealizować otrzymane bony musiał jechać do Wisznic, ale i tam nie zawsze był towar, jaki chciał. Pewnego razu w Wisznicach podszedł do niego voldskeutsche, w kapeluszu z piórkiem i chyba dlatego nazywano go „pędzlem”. Zajmował się on ściąganiem kontyngentów oraz nadzorowaniem pracy budowlanej i szalwarkowej. Zaproponował Piotrowi pomoc w realizacji bonów, jeżeli zostawi mu kartki. Przy spotkaniu za każdym razem mówił jutro, a nawet zaczął go unikać. Piotr w tym czasie dowiedział się od Niemca - żołnierza Karola, który pochodził ze Śląska, umiał bardzo dobrze rozmawiać po polsku. Powiedział, że „Pędzel” nikogo się nie boi oprócz jednego – landkomisarza. Przełamał strach, który na samą myśl go przeszywał i paraliżował. Piotr tak jak wielu mężczyzn, lubił zawsze ryzyko i poszedł do domu „Pędzela”, chciał odzyskać, chociaż bony. Później „Pędzel” zachowywał się tak jakby o niczym nie wiedział. Po chwili nic nie mówiąc sięgnął na szafę po dubeltówkę i zaczął mierzyć prosto w Piotra,

któremu nogi się zatrzęsły. W ostatniej chwili zdobył się na odwagę i z wielką siłą nagle dwoma rękami chwycił go za kłapy i zaczął ciągnąć mówiąc: do landkomisarza. Podziało to od razu niespodziewanie. „Pędzel” przemówił łagodnym głosem „Bite zecen”, proszę siadać, wszystko załatwimy Pioterku. Kazał swojej gospodyni przynieść przekąskę, a sam postawił połówkę alkoholu. Wspólnie opróżnili jedną potem drugą. „Pędzel” chwycił akordeon zaczął grać, a Piotrowi kazał tańczyć ze swoją gospodynią. Nie musiał mu powtarzać, bardzo Piotr lubił popisywać się w tańcu tak i tym razem miał nie byle okazję. Alkohol przygłuszył strach, nabrał pewności, pełen wrażeń, ale z kartkami powrócił do domu. Rodzina kiwała głowami, jak mógł się tak narażać za głupie kartki.

Jednym z podstawowych celów hitlerowskiej polityki, na okupowanych terenach było pozyskanie największej ilości rąk do pracy w niemieckim rolnictwie i przemyśle zbrojnym. Piotr w swym gospodarstwie, jak na owe czasy wielkim, miał od kilku lat pomocnika Czesława Zubolewicza. Chłopiec nie miał żadnej bliskiej rodziny, przyzwyczaił się, nie miał bardzo ciężkiej roboty, a jeszcze dostawał zapłatę i kieszonkowe. Julek i Karolek w gospodarstwie jeszcze nie pracowali, najwyżej latem wypasali krowy. Sąsiedzi zazdrościli Piotrowi tak układowego i pracowitego chłopca. Często nawet dochodziły słuchy, że to właśnie jego powinni zabrać na roboty, ponieważ nie ma rodziny.

Żeby skompletować pełny transport robotników przeprowadzano łapanie, których miejscem były drogi, pola, place targowe i kościoły. Czesław wcześniej był w junakach, ale co pewien czas przychodził do domu na przepustkę. W tym dniu akurat wyrzucali z Piotrem obornik z obory. Wiktoria przez okno zobaczyła Niemców przejeżdżających się od strony cmentarza i oglądających podwórza niemal każdego domu. Szybko pobiegła do obory, aby przestrzec mężczyzn, aby nie wychodzili, a wręcz się jeszcze ukryli. Czesław był zawsze odważny, mówił – „przecież nikomu nic nie zrobiłem i nie będę się chował”. Zresztą na pewno Niemcy zbierają jajka i wyszedł sam na drogę. Wówczas został on zatrzymany, opowiadał Piotr ze smutkiem. Wówczas na rozkaz Niemców sołtys zakazał furmankę Waszczukowi w celu dostarczenia do punktu zbiorowego do Białej Podlaski. Nadszedł wieczór, wóz wyszykowany, dwa siedzenia, na drugim miał siedzieć Czesław i dwóch Niemców do pilnowania. Wieczór ciepły, ale pochmurny, jechali drogą. Monotonność po wyboistych drogach ukołysała żandarmów. Czesławowi nie było do drzemki. Widział zwisające, co chwila głowy, aż jednemu broń wypadła z ręki. Cekał na dogodny moment.

Zaplanował uciec i skryć się w największym gąszczu leśnym, który może przysparzać jego i spełnić ostatnią i najważniejszą nadzieję życiową.

Tak też się stało, wyskoczył jak strzała, jakby ktoś go unosił, krętymi susłami wyrwał jak najdalej od brzegu, jak najgłębiej w ciemność otaczającą dookoła. Żandarmi oszołomieni taką niespodzianką, wyskoczyli, strzelali, biegali nad brzegiem lasu, ale już Czesław był daleko i zamaskowany wśród gałęzi i ściółki leśnej. Powrócili z niczym do wozu. Zdenerwowani chcieli wymierzyć karę woźnicy, który klękał przed nimi mówiąc, że on musiał patrzeć na konie i na wyboistą drogę. Rodzina Horyńców była pewna, że już jest deportowany do Rzeszy. Żadnej wiadomości. Po kilku dniach podczas głębokiego snu, pukanie do okna, głos Czesława: nie bójcie się, dajcie mi ubranie i trochę jedzenia. Najpierw zapytał czy nikt z Niemców o niego nie pytał - bałem się wrócić do domu, bo nie wiedziałem czy dom jeszcze zobaczę, zastane rodzinę. Rzeczywistość była inna, nikt nie pytał z Niemców, nie dochodzili, ponieważ sami nie dopilnowali swoich obowiązków. Czesław długo ukrywał się w lesie, ale jego los chyba był przesądzony. Tułał się w obawie przed śmiercią kilka miesięcy. Po powrocie do domu Hitlerowcy dokonywali aresztowań. W dniu 12.IX. 1942 roku do Białej Podlaskiej przewieziono w ręce gestapo około 50 osób. Zostali oni aresztowani, wśród których było trzynaście osób z Żeszczynki. Nieszczęśliwa trzynastka, ostatni na liście był Zubylewicz Czesław. Pięć dni trzymano ich w ciasnym i dusznym pomieszczeniu – 20m², bez pożywienia i wody. Byli bici kijami przy każdej okazji. Gestapowiec zakomunikował, że zabrano ich jako zakładników za przestępstwa popełnione wcześniej; za rozbicie wojskowego samolotu, za spalenie baraku Wehrmachtu we wsi Lipinki, za zastrzelenie kilku żołnierzy niemieckich, kilku żandarmów na szosie z Rossoszy do Wisznic. W dniu 17 września 1942 roku przewieziono więźniów samochodem ciężarowym, pod eskortą na Majdanek do Lublina. Na miejscu, we wsi Żeszczynka został rozstrzelany Eliaż Sidoruk. Z Majdanku wrócił: Stefan Odyniec. Pozostali zginęli na Majdanku w Lublinie od dnia 25-27.XII.1942 roku. Byli to:

1. Zubylewicz Czesław lat 20
2. Chilczuk Maciej lat 40
3. Danieluk Franciszek lat 15
4. Howoruszko Bazyli lat 35
5. Hulewski Jan lat 32
6. Jżko Korneli lat 40

7. Sidoruk Adam lat 41
8. Sidoruk Eliasz lat 32
9. Sidoruk Jan lat 35
10. Skrzyński Stefan lat 31
11. Wroński Izidor lat 31

Potrafili zazarować

Podczas wojny ludność bała się nie tylko hitlerowców ale i innych ludzi często zamaskowanych, którzy potrafili wyprowadzić na podwórze i rozstrzelać a w najlepszym wypadku spenetrować i zrabować całe gospodarstwo. Czasami niewiadomo było, kogo się bardziej bać. Najstraszniejsza zawsze była noc. Często się zdarzało, że nasyłali mieszkańcy jeden na drugiego. Bandziory dobrze byli poinformowani, co u kogo jest, co można zabrać, nawet gdzie się znajduje. Ciągłe nieporozumienia wynikały, że wśród mieszkańców wsi Żeszczynka ludność była podzielona. Jedni byli wyznania katolickiego a inni prawosławnego. Jeździli do Jablecznej albo przywozili stamtąd popa, aby ochrzcił dzieci. Ludność schodziła się z całej wsi, jeżeli pop przyjeżdżał do pochówku, w celu posłuchania pięknego śpiewu chóralnego. We wsi mieszkała rodzina o długich tradycjach wyznania prawosławnego. Gospodyni domu bardzo tego przestrzegała w swoim życiu, jaki i swojej rodziny. Miała na imię Nadzia i była drugą żoną Józefa. Miał on po pierwszej żonie syna Mikołaja i jeszcze im się urodziło dwóch synów: Tadeusz i Paweł. Józef był bardzo życzliwym i pracowitym człowiekiem. Niektórzy mieszkańcy wsi uważali Nadzię za czarownicę, ponieważ potrafiła sobie wiele wyczarować i rzekomo w tym jej pomagał mały duszek. Nigdy nie brakowało jej odwagi ani szczęścia, czego pozazdrościł jej nie jeden mężczyzna. Był początek lata, gdy do ich domu przyszli zamaskowani nocni goście. Zabronili im wychodzić z mieszkania oraz świecić lampę. Noc była bardzo ciemna. Nawet przez szczelinę w okiennicach nic nie można było dojrzeć. Związali i załadowali na ich wóz dwie największe świny. Drabiniasty wóz był wyścielony drobną, soczystą trawą, którą wcześniej Józef przygotował swojej chudobie. Nadzia z niecierpliwością oczekiwała poranka. Jeszcze było szaro. Jaśniała tylko linia widnokręgu, gdy już niecierpliwością oglądała swoje gumno. Zaglądała w każdy zakamarek na podwórzu i oborze. Stwierdziła tylko brakujące świny. Dzień zapowiadał się pogodny, niebo z minuty na minutę jaśniało. Zaczęła bacznie przyglądać się śladom kół, które głęboko wcinały się

w ziemię oprószone drobną wiosenną trawką, wypadającą między szczeblami drabin. Nadzia nikomu nie oznajmiając o swoim planie postanowiła iść tym tropem. Okryła się wielką wełnianą chustą w kratę. Sprawiała wrażenie, że sunie się po ziemi bez przebierania nogami, które zupełnie były ukryte w długim falbaniastym fartuchu. Głowa zupełnie ukryta w chuście. Przez małą szczelinę bystrymi oczkami uważnie obserwowała siady wozu wcinające się w błoto i otulone wesołą woalką zieleni podążającą za wozem, która stanowiła dobry poszlak dla odważnej i upartej baby. Większość mieszkańców dziękowałaby Bogu, że rodziny pozostały całe i zdrowe, nie zważając na ubytek świń w ich gospodarstwie. Nadzia wolno wędrowała poboczem bardzo błotnistej drogi przez Żuławę. Dalej zielone znaki prowadziły do lasu i przez Kopytnik, Huszczę do Koszoł. Słońce zaczynało wesoło przyświecać jej drogę prowadzącą prosto w podwórze, na którym stały piękne murowane zabudowania. Zadbane budynki, na środku z wozem zapraszały do siebie. Ład i porządek na podwórzu, cisza i spokój okalały wszystkie zabudowania. Słońce radośnie ozłacało wóz z resztkami drobnej trawy. Nadzi różne myśli przychodziły do głowy: może tego pilnuje i zniecka wyskoczy i ją uwięzi, będzie torturował, może zejść z tego świata w nieznanych przez nikogo okolicznościach i nigdy nie powróci do domu, do swojego Józefa i dzieci. Jednak jakaś nieznana i nieokreślona siła w nią wstępowała, wielka odwaga popychała ją do przodu, której w żaden sposób nie mogła się oprzeć. Postanowiła najpierw wejść do obory, aby upewnić się, czy tam są na pewno jej świny. Leżał tam jej dobytek tak spokojnie jak ona sama zachowywała spokój i opanowanie. Następnie swoją postać skierowała do mieszkania, do którego drzwi były nieco uchylone. Weszła do kuchni, po której krzątała się kobieta w średnim wieku. W domu panowała cisza i zupełny spokój. Ja do gospodarza - spokojnie powiedziała do kobiety stojącej przy dzieży z ciastem. Kobieta kiwnęła głową wskazując na alkierz. Nadzia bez chwili wahania skierowała się do pokoju, do którego drzwi prowadziły z kuchni. Tuż za drzwiami na drewnianym łóżku leżał na wznak młody mężczyzna. Ręką miał zasłoniętą częściowo twarz. Nadzia pochyliła się nad mężczyzną lekko dotykając i jednocześnie wsłuchując się w jego oddychanie. „Hospodaryku, ja przysła po swoi swyny” spokojnym głosem wyszeptała nad jego uchem. Przez jej umysł jak błyskawica przeleciały różne myśli. Może ma pistolet ukryty za poduszką i zaraz ją zastrzeli. Ale już po chwili bardziej niż kiedykolwiek nie miała wcale lęku. Najważniejsze było udowodnienie swojej prawdy, której właściwie wcale nie trzeba było udowadniać. Mężczyzna szybkim ruchem ocknął się i z niepokojem

odpowiedział - jak twoje to zabieraj. Nadzia wyczuwając uległość, przysiadła przy nim na łóżku i wdała się w dalszą rozmowę, która polegała na dogadaniu się jak dalej postąpić. Oboje byli nadzwyczaj spokojni i zrównoważeni, chociaż co w sercu ich się działo to trudno powiedzieć. Nadzia często te chwile opowiadała ze wzruszeniem jakby chciała udowodnić sąsiadom, że jest bardzo odważna i dociekliwa. Pamiętaj -mówił mężczyzna- nikomu masz nie mówić, nawet pod zastraszaniem. Masz nie mówić, że znalazłaś swoje świnię w mojej oborze. Nadzia przyrzekła, że będzie mówiła tak jak się umówili, że znalazła swoje świnię w lesie stasiowskim, uwiązane do drzewa. Oboje sobie przyrzekli, żeby nawet ktoś im groził, to też nie nikomu nie powiedzą. Zgodnie z umową Nadzia wieczorkiem zabierze swoje świnię. Przyjechała z mężem Józefem zaraz na drugi dzień. Niewiele czekając już zmierzchem przybyli nieznani, aby dokładnie się dowiedzieć, w jaki sposób wróciły ich świnię do domu. Nadzia z mężem twardo podtrzymywała historię wcześniej ustaloną. Prawdopodobnie byli to wysłannicy złodziei, aby się przekonać, co będą mówili i czy dotrzymają słowa wcześniej im danego. Małżeństwo twardo utrzymywało uzgodnioną wersję. Na tym się nie skończyło. Nadzia przekonała się, że nie zawsze należy dochodzić swego. Wówczas to chyba pierwszy raz się przekonała, że czasami lepiej stracić niż dochodzić za cenę zdrowia a nawet życia. O tym zajściu już doniesiono do NKWD, którzy tu przyjechali w mundurach wielkim samochodem. Historia się powtórzyła tylko z większym nasileniem. Kategorycznie żądali ujawnienia całej prawdy. Zmuszani byli w różny sposób. Najbardziej doskwierające było bicie pałkami po plecach. Chociaż Nadzia uchodziła za bardzo silną kobietę, niestety tego nie wytrzymała. Maltretowani oboje pałkami do skutku, ujawnili całą prawdę. Po pobiciu nie była w stanie nawet się podnieść. Wniesiono ją do samochodu i na leżąc musiała wskazać dom, w którym odnalazła swoje świnię. Później pokazywała sąsiadom pociętą skórę na plecach i pobite całe ciało. Po tym zajściu długo oboje nie mogli dojść do siebie, do poprzedniego zdrowia, którym się cieszyli. Wówczas złodziej został zmuszony do pokazania współnika, który mieszkał w Bokince Pańskiej. W nocy zostali obaj zabrani ze swoich domów i gdzieś wywiezieni, których dalsze losy nie były znane.

Nadzieja na wolność, na zbliżający się koniec wojny nie opuszczała mieszkańców wsi Żeszczynka. Przed nadchodzącą zimą każda rodzina starała się zaopatrzyć w najpotrzebniejsze artykuły żywnościowe takie jak mąkę, ziemniaki i warzywa. Uważano, że jak będą ziemniaki i chleb to zima pewna

przetrwania. Przeszło lato i nastała jesień, Nadzia z Józefem dochodzili do siebie. Pewnego dnia pojechali kopać ziemniaki na swoje kolonie na Żuławę. Tam mieli spory kawałek pola i młody las - piękną brzezinkę, która zdawałoby się, że śpiewa i rozmawia z ptakami upiększając życie. To miejsce cieszyło serce i duszę. Dzień bezwietrzny, brzezina cichutko szumiała, drobne listki szeptały, tak jakby chciały coś powiedzieć, wyszeptać swoim gospodarzom. Atmosfera tego miejsca zawsze dawała im ciszę, spokój i ukojenie ich sercom. Obije zajechali na pole wielkim drabiniastym wozem, na którym były wielkie worki utkane przez Nadzię, dwie motyki i wielkie wiklinowe kosze wyplecione przez Józefa. Koń został wyłożony z wozu, aby mógł swobodnie w tym czasie skubać trawę po leśnych drózkach. Józef luźno uwiązał do wozu w cieniu drzew. Oboje pochyleni nad rządками zeschniętych łętów ziemniaczanych. Motyką rozkopywali ziemię, potem dokładnie rozgarniali, aby wydobyć ziemniaki. Nie dawali sobie ani jednej chwili na odpoczynek i rozmowę. Nadzia uparcie i wytrwale zbierała ziemniaki wyprzedzając swojego Józefa niekiedy jeszcze pokrzykując na niego, aby jej sprostał. Tak jak zawsze do wszystkiego była bardzo uparta, nie mogła uwierzyć, że jej mąż o parę lat starszy nie może za nią nadążyć i jeszcze odpocząć. Ta prosta kobieta miała bardzo szybki refleks i dobrą spostrzegawczość - Jane! Krzyknęła - ktoś nieznajomy poprowadził naszego konia. Prześwit postaci ludzkiej i konia przez młodnik lasu upewnił, że ktoś się oddala. Jane - powtórzyła jeszcze bardziej donośnym głosem „naszoho kunia ktoś powiół dorohoju”. Chociaż Józef wyglądał na bardzo zmęczonego szybko z motyką w ręku ruszył w ich kierunku. Biegł szybko jak mógł, jakby coś go niosło w powietrzu zdawało się, że jego bose nogi nie dotykają ziemi. Przeskakiwał krzewy jałowca, pnie drzew trącając bosymi stopami, kiedy niekiedy o korzenie wykarczowanych niegdyś drzew. Leciał jak jaskółka przed burzą nad wodą, której lustro wody odbijało niebo. Po krótkim czasie nieznajomy najspokojniej dosiadł wierzchowca i dalej stępem kierował się w kierunku wschodnim. Józef już leciał jak błyskawica, jak grom przelatywały myśli, w jaki sposób przechytrzyć nieznajomego, który jest chyba pewien, że go już nikt nie dogoni. Józef ostatkiem sił z motyką w ręku postanowił zająć go od przodu od strony Kruszyny. Był pewien, że jego koń nie pójdzie na niego i go nie strati. Nagle wyskoczył z krzaków i wymachując motyką i głośno przy tym krzycząc; To mój koń, to mój. Żołnierz sowiecki wyglądał na bardzo też zmęczonego i spokojnego. Józef chwilami miał przebłysk, co może mu grozić. Nieznajomy podniesionym, ale stanowczym głosem mówił "z dorohy", kręcił uzdą w jedną to w drugą

stronę. W końcu zdenerwowany zeskoczył z konia i stanowczo zapytał w języku rosyjskim, „co wolisz, życie czy konia” jednocześnie nastawiając broń w jego kierunku. Józef udawał, że to nie do niego, że nie słyszy. Dalej podskakiwał wrzeszcząc, co sił „ja chcę swojoho konia” Żołnierz nerwowym ruchem zeskoczył z konia jedną ręką trzymając za uzdę drugą kierując bronią prosto w twarz. Jeszcze raz się zastanów - mówił jakby chciał przypomnieć, co mu grozi. Do Józefa te słowa nie trafiały, nie docierały, nawet nie zwracał uwagi, że jest wymierzony. Silna wiara w odzyskanie swojego konia była mocniejsza i przygaszała wszystko, co dookoła się działo. Wiedział jedno, że bez konia nie może wracać do swojej Nadzi. Po chwili szarpaniny niespodziewanie żołnierz machnął ręką zostawiając konia i odchodząc w stronę wschodnią, obrzeżem Kruszyny. Z wielką ulgą w sercu Józef chwycił konia za uzdę nie dając sobie wiary, że jest już jego, że go odzyskał. Nogi naraz stały się ciężkie odchodząc w przeciwnym kierunku. Czekają go przecież ziemniaki i żona, która chyba mu nigdy nie darowała jakby wrócił bez konia. Czym dalej się oddalał nabierał pewności w sobie, miał ulgę w sercu które tak niedawno uciskało. Jego odwaga i siła woli potrafiła przezwyciężyć nawet śmierć. W drodze powrotnej drzewa które mijał, wesoło szumiały dodając siły i nadziei, że spotkał człowieka dobrego, który potrafił zrozumieć wartość konia w jego pojęciu. Mieli oboje wielkie szczęście trafiając na ludzi, których mogli oczarować swoją silną wolą i odwagą.

Wspomnienia z dzieciństwa i pierwsze lata powojenne

Skrzyżowanie dróg, drewniany krzyż, dwie kuźnie. Jedna drewniana pana Zdolskiego, druga murowana pana Zawadzkiego. Po śmierci starego Zawadzkiego nie była właściwie wykorzystywana. Ważniejszy sprzęt się zachował, drobniejsze przybory były rozpozyczzone. Najczęściej już nie powróciły na dawne miejsce. Pan Zdolski w swojej małej drewnianej kuźni miał pełne ręce roboty, z której utrzymywał całą swoją rodzinę. Za nim postawił własną murowaną kuźnię przez kilka lat był użytkownikiem kuźni Zawadzkiego, którego zabudowania z pięknym placem leżały od południowej strony drogi. Północną część posiadłości okalały wysokie miododajne drzewa akacjowe, siedlisko przeróżnych ptaków i owadów. Pod nimi również gromadziły się codziennie dzieciaki w różnym wieku niemal z całej wsi. Stefcia i jej najlepsza koleżanka Adela to były najmniejsze dziewczynki wśród całej tej zgrai. Zbierali się tam synowie Zawadzkiego Władysława:

Jacek i Marek, Jurek Dadun, u którego w domu był sklep spożywczy. Za jedno jajko można też było kupić wiele groszków lub landrynów. Tuż przy skrzyżowaniu mieszkał Samojluk Janek, Aniela Hołowieniec. Przychodziły również Krysia Zdolska, córka kowala, Hania Kuryło, Julek i Karolek Horynieckich, Teodor Chotyniec i Janek rudy jak wiewiórka. Na samym środku skrzyżowania dróg stał drewniany krzyż, wokół którego dzieciaki ganiały się, grając w czarnego luda, berka, klasy, pałki tatarki, w piłki szmaciane oraz starsi chłopcy w pikra. Adela ze Stefcia po deszczu lubiły się bawić w wodzie z piaskiem. Tuż za zakrętem płynęło wiele strumyków w kierunku Żuławy od strony wsi, wyszukując dogodnie położenie terenu przy tym wydrążając sobie korytka. Strumyki niosły przeróżne bogactwo, które przydawało się dziewczynkom. Znikały na długie godziny z domu by odkrywać nowe widoki, jakie malowała w piasku szemrząca woda, śpiesząca do rzeki Grabarki. Woda niosła kolorowe kamyczki o różnej barwie oraz gruby piasek, który nadawał się na wypieki babek. Starsze dzieciaki (szczególnie chłopcy) w dzień pasły krowy na łąkach zwanych Osrówkami, nawadnianymi przez strumyki. Nagle przed sobą Adela i Stefcia zobaczyły coś strasznego: chłopca, którego nie można było rozpoznać, ponieważ cała twarz była we krwi, ciurkiem spływająca po ubraniu. Chłopiec od czasu do czasu ręką przecierał sobie oczy, aby zobaczyć przed sobą drogę prowadzącą do domu. Kiedy chłopiec skręcił w podwórze, Stefcia stanęła jak wryta. Przecież to jest brat Karolek cały zbroczony krwią. Karolek ani na chwilę nie przystanął, szybko podążał do domu szukając ostatniej pomocy u rodziców. Dziewczynki przerażone jego widokiem podążały za nim. Mama Karolka szybko umyła mu głowę nad miednicą. W tym czasie w polu był Piotr, ale kolega szybko pobiegł oznajmić mu o wypadku. Ojciec co siłą biegł do domu, bo nie wiedział czy Karolka zastanie żywego. Wiktor owinawszy głowę gałgankami razem z Piotrem pojechali szukać dalszej pomocy u lekarza w Wisznicach.

Karolek w nieszczęściu miał trochę szczęścia. Na pastwisku chłopcy znaleźli niewypał – granat zaczepny. Wszyscy zaczęli się zabawiać uderzając na zmianę, raz jeden, raz drugi ciężkimi kijami tzw. buławami. Akurat, gdy podszedł Karolek uderzając ostatni raz nastąpił wybuch. Wszystkie odłamki rozprysły się raniąc całe ciało chłopca. Pozostali chłopcy uciekli ukrywając się w trawę lub w najbliższe krzaki. Wówczas Karolek stracił wzrok na jedno oko. Pamiątką pozostały w ciele małe odłamki metalowe.

Tuż po wojnie, pamiętam – mówi córeczka do swojej mamy; jak brałaś mnie na ręce, tuliłaś do siebie uspakajając moje drżące ciało, dygoczące ze

strachu, szczególnie wybudzone ze snu w nocy. Walili w drzwi z całą siłą, co wszystkich doprowadziło do osłupienia. Najczęściej mama szła otwierać drzwi, w tym czasie tato chował się w stajni. Wchodził pod podłogę aż pod mieszkanie. Stajnia była przybudowana do domu. Pełzał jak wąż w najdalszy zakamarek domu. Wiktoria, gdy była pewna, że Piotr się już ukrył, otwierała drzwi trzymając mocno córeczkę na rękach. Nocni goście wchodziłi, szukali, wypytując o gospodarza. Kazali wygasić światła w całym domu, zamykali okiennice i zakazywali wychodzić na dwór. Stefcia, chociaż wtulona w mamę nie mogła opanować swego lęku. Obie szczęki uderzały o siebie, stukot małych ząbków było słychać niemal w całym pokoju. Z samego rana młodzi gospodarze obchodzili swoje gospodarstwo. Tym razem brakowało tylko dwoje świń, które przy studni były zabite i rozebrane. Gospodarzom tylko zostały jelita wypełnione g....

Na kwaterze u Jana Chotyńca mieszkała nauczycielka Julia Mazurkiewicz, prowadząca polską szkołę. Miała ona na wychowaniu siostrzenicę Dankę. Nikt nie znał jej nazwiska, to najczęściej nazywali ją nazwiskiem ciotki nauczycielki. Stefcia była o rok może dwa młodsza, jednak obie bardzo się przyjaźniły. Ponieważ mieszkały blisko siebie często do siebie przychodziły. Gdy pani Julia ukazywała się na ganku, mała Stefcia przybiegała przez drogę i długo towarzyszyła przy robótkach ręcznych. Dla przyszłej nauczycielki była bardzo grzeczna i z zainteresowaniem słuchała bajek, których w domu nigdy nie słyszała od rodziców. Słuchała o dzieciach w szkole i krasnoludkach, które przychodzą do szkoły. Często zasypiała przy pani Julii, która zaraz przenosiła ją na poduszczyce do domu. Po powrocie Danusi ze szkoły, obie bawiły się ale już pod okiem mamy Stefanii. Wojna się skończyła, jednak czasy nie były spokojne. Najbardziej niepewne były noce. Ludność często wytwarzała alkohol tzn. bimber swoim sposobem na własne potrzeby lub gościom nocnym, których niekiedy tym trunkiem można było zaspokoić. W tym okresie w wielu kuchniach stał parnik do parowania ziemniaków świniom. Zaraz przy parniku stał cembrzyk, w którym siekano ziemniaki. Tak też było u Piotra. W kuchni do parnika podłączone były rurki metalowe o różnej długości. W tym dniu nie parowano ziemniaków. Do otworu, z którego zawsze buchała para podłączone były dwie rureczki, jedna grubsza, druga cieńsza, z której spływały kropelki czarodziejskiej cieczy. Nie pozwalano dzieciom próbować nawet kropelki. Wkrótce tym dziwnym zapachem wypełnił się cały dom. Dziewczynki podczas zabawy wpadały do kuchni a właściwie wszędzie było ich pełno. Po pewnym czasie zauważyły pochylonych mężczyzn nad naczyniem i małą łyżeczką próbujących

czarodziejski napój, przy tym potakując głowami, że jest dobre i bardzo udane. Po pewnym czasie w kuchni zrobiło się cicho, dziewczynki dostrzegły, że jest również pusto. Wzięły ze stołu szklaneczkę metalową, pięknie grawerowaną roślinnymi motywami. Czerpały po trochu ciekawej cieczy z garnka, do którego nadal cienkim strumykiem spływała i szybko uciekały do ostatniego pokoju, by tam spokojnie też posmakować. Robiły to na zmianę, kiedy szklaneczka była już pusta, czekały na dogodną chwilę, aby znowu zaczerpnąć i uciec. Danuśka i Stefania traktowały to jako zabawę. Nikt z dorosłych nie zwracał na nie uwagi i nie spostrzegł, czym się zabawiają. To była bardzo wesoła zabawa szczególnie na początku. Śmiały się i tańczyły przy tym wesoło bez nadzoru dorosłych. Nagle coś się stało, nogi zaczęły się uginać i nie dawały rady unosić małe ciała dziewczynek. Padały, wstawały, to znowu padały na podłogę. Wkrótce ucichł śmiech i hałas. Zaniepokojona mama Stefanii zaczęła szukać. Weszła do pokoju, tam dziewczynki w nieładzie leżały na podłodze i spały. Wiktoria chciała, żeby przeszły na łóżko, lecz nie było sposobu na wybudzenie. Wzięła na ręce i z wielkim niepokojem ułożyła na szerokim malowanym, drewnianym łóżku babci. Widziała, że są nieprzytomne, ale i ich oddech był słaby i niepokojący. Wiktoria ciągle miała ich na uwadze, dziewczynki leżały jak w głębokim śnie. Długo spały, nadszedł wieczór, Danką nie wracała do swojego domu. Zaniepokojona ciotka zaczęła poszukiwanie. Najpierw wołała na podwórzu, Danką nie wracała, na drodze też jej nie było. Wpadła do domu Piotra bardzo zaniepokojona i zdenerwowana. Wiktoria zaprowadziła ją do pokoju oznajmiając, że są bardzo chore. Dziewczynki w dalszym ciągu leżały na łóżku obie nieprzytomne i zżygane. Pani Julia niewiele myśląc wyszła do kuchni i wyciągnęła z miotły największą różgę, z którą ponownie wróciła do dziewczynek. W jednej chwili zarzuciła sukieneczki na plecy i zaczęła na zmianę chłostać, raz jedną raz drugą do chwili wybudzenia się dziewczynek. Małe czuły się bardzo zaskoczone tym, co nastąpiło. Zastanawiały się długo, dlaczego były tak mocno ćwikane i z taką złością, przecież nikomu nic złego nie zrobiły. Stefania zastanawiała się, dlaczego nie może od tej pory iść do Danki ani ona do niej, zawsze im było fajnie razem. Wiktoria tłumaczyła, że Danką chodzi do szkoły i ma dużo lekcji. Tymczasem przyjaźń się skończyła.

W domu Horyńców często przebywały kobiety z kółkami przędzalniczymi i z robótkami ręcznymi. Przychodziły kumy, sąsiadki, koleżanki i przyjaciele. Zwykle zbierały się po śniadaniu. Późnym wieczorem przychodzili ich mężowie, aby nie bali się wracać do domu. Podczas takiego spotkania opowiadano przeróżne zdarzenia i przygody. Niektórzy mieli taki

dar opowiadania, że aż ciarki przechodziły po ciele. Stefcia w tym czasie siedziała w łóżku przy ciepłym piecu wsłuchując się opowiadaniom. Nie wszystko było jej zrozumiałe, ale niektóre barwne obrazy zapadły na bardzo długo w pamięci. Przyglądała się na ręce, które szybko poruszały drutami i coś powstało. Bardzo marzyła, aby zrobić lalce chociaż jedną sukieneczkę z wełny. Mama dawała resztki kolorowych nici nawiniętych na kłębuszki. Początkowo przewijała jeden z drugiego, potem nawijała na druty, ale też nic jej nie wychodziło. Wreszcie mama nauczyła nabierać oczka na druty. Było ich tak wiele, że też się nie mieściły. Najtrudniej było nauczyć się trzymać prawidłowo druty w rękach i robić ścięciem w prawo i lewo. W taki mozolny sposób powstał długi szalik dla lalki, którego tylko nosiła na sobie.

Tuż po wojnie na zebraniu wiejskim uzgodniono, że kolejno po dwóch mężczyzn będzie wartować całą noc we wsi. Będą chodzić z jednego końca w drugi, aby odstraszyć ludzi o złych zamiarach. Kolejno temu, kto miał wartować był przekazywany kij tzw. buława. Pewnej nocy do domu wpadł na krótko Piotr, który pełnił rolę wartownika i zaczął z wielkim przejęciem opowiadać swoje przygody. Była to zima, około północy przed oczami wartowników stanęła wielka postać, kilka razy większa od normalnego człowieka w kształcie bałwana, trzymająca w ręku wielką gałąź wymachując przed siebie i podśpiewując. Szła prosto na nich, nie zwracając uwagi, że ktoś stoi przed nią. Chociaż zawsze Piotr szczycił się odwagą, na ten widok odskoczył on i jego kolega, a ona poszła dalej podśpiewując. Za parę godzin wracając z obchodu wsi, znowu spotykają ową postać idącą prosto na nich i kierując gałąź w twarz. Piotr, który trzymał w ręku buławę, wymierzył z największą siłą w tajemniczą postać. Piotr opowiadał to z wielkim przejęciem i z najmniejszymi szczegółami. Podczas uderzenia usłyszeli odgłos tak jakby ktoś uderzył w poduszkę i ciche postępowanie, ale zjawy nie przystanęła ani na chwilę, dalej poszła sobie podśpiewując środkiem drogi jak poprzednio. W tym czasie wiatrem zawiało od zagadkowej postaci, której nigdy więcej nie spotkali. Piotr nad ranem wrócił do domu, pełen niepokoju opowiadając swojej rodzinie.

Stefania swoją edukację zaczęła mając sześć lat. Właściwie za namową nauczycielki, która powtarzała Wiktorii, że wykazuje wiele umiejętności potrzebnych by rozpocząć naukę. Stefania zawsze była zainteresowana książkami swoich starszych braci, którzy zbytnio do nauki się nie rwali. Najbardziej ją interesowały ilustracje w podręczniku do historii. Był rok 1946, szkoła mieściła się u Sołoduchy Joachima. Uczyły się tam dzieci od klasy pierwszej do czwartej. Lekcje odbywały się razem w jednej

wielkiej sali. Na ścianie południowej wisiał wielki krzyż, cały czarny w kolorowe ozdoby. Pod nim wisiało Polskie Godło, jeszcze niżej – czarna tablica. Na środku ściany od zachodu stał wielki gliniany piec grzewczy. Pierwsza klasa siedziała w pierwszym rzędzie ławek od pieca. W następnym rzędzie klasa druga, w trzecim klasa trzecia. Pod oknami za tymi rzędami siedziała klasa czwarta. Była to młodzież mająca po szesnaście – osiemnaście lat. Zawsze przed lekcją odmawiana była modlitwa. Stefcia z Anią Klimiuk siedziały w pierwszej ławce, wiele widziały i słyszały. W szufladzie w nauczycielskim stoliku leżała linijka, którą w potrzebie wymierzano karę. Stefania bardzo tego się bała, ponieważ w domu nigdy nie była bita. Szybko można się było zagapić, szczególnie jak nauczycielka rozmawiała z inną klasą. Często klasa pierwsza dostawała polecenie przerysowania z elementarza do zeszytu. Najbardziej Stefaniu udało się przerysować kozę, za którą dostała pochwałę przed całą szkołą. Do dziś wspomina jak bardzo miły dreszczyk radości przesywał jej serduszek. Hania już wówczas nie miała swojej mamy, zmarła na suchoty. Stefcia często zastanawiała się jak to jest nie mieć mamy, tak ważnej osoby. Nikt nie pożałuje, nie przytuli, nie pokocha i nie zrozumie jak mama. Pewnego razu dziewczynki postanowiły pobiec na przerwie do domu Stefci, aby trochę coś zjeść. Mama szybko posmarowała chleb z masłem jednej i drugiej dziewczynce. Zanim zjadły i doszły do szkoły już przeszło trochę lekcji. Nauczycielka postawiła obie na kolana. Stefcia bardzo się rozplakała, zaczęła szlochać, nie mogąc zrozumieć, za co? za co? Przecież nic złego nie zrobiła, przecież tak bardzo im się chciało jeść. Pod koniec roku szkolnego nauczycielka przesadziła Stefanię i od tej chwili siedziała z Tereską Świętochowską. Pod koniec roku dzieci starsze i młodsze przystąpiły do Pierwszej Komunii Świętej. Religia odbywała się w kościele – uczył ks. Kazimierz Szczotkarz. Najważniejszą umiejętnością była znajomość pacierza. Na powitanie księdza wszystkie dzieci ustawiały się w kolejce, aby przywitać księdza pocałunkiem w rękę. Był maj, dziewczynki w białych sukienkach i uplecionych z asparagusa wianuszkach na głowie, w białych skarpetkach, starsze dziewczynki w kolorowych sukieneczkach, natomiast chłopcy w białych komrzach. Wszystkie dzieci trzymały w rękach wielkie świece. Nie dane im było w tym roku odebrać świadectwa szkolnego ani zdjęć od Pierwszej Komunii Świętej, ponieważ nastąpiło wysiedlenie ludności z całej wsi.

Stefania wspomina z tamtych lat Zielone Świąta. Jej tata razem z chłopcami corocznie ozdabiali młodą brzezina wokół domu. Drzewka sięgały dachu. Na każdym uporządkowanym podwórzu leżał zielony

pachnący tatarak przyniesiony przez dzieci. Radowały się serduszka, że pod ich domem jest troszeczkę lasu i coś z zapachu łąk. Wszyscy te święta uroczyście obchodzili dwa dni. Nawet krowy z pastwiska przychodziły w zielonych wiankach uplecionych z gałązek młodej rozwiniętej brzoźny nałożonych na rogi. Chroniły one od słońca oraz przed owadami. Najczęściej zajmowali się pasieniem chłopcy od 7 do 15 lat, nie mający rodziców. W ten sposób zarabiali na pozostałych członków rodziny. Gospodarz płacił im zbożem od sztuki wypasanego bydła. Tacy chłopcy najczęściej nie chodzili do szkoły, jeżeli to tylko w zimie. Za udekorowanie bydła dostawali od gospodarza kieszonkowe.

Wysiedlenie ludności

Zielone święta, radość w domu, wszyscy zdrowi, dzieci rosły, była nadzieja na pomoc w gospodarstwie, w którym też wszystko układało się pomyślnie. Piotr najbardziej liczył na pomoc synów, bo do szkoły nie mieli zamiłowania. Do nauki zbytnio nie mieli ochoty i zdolności, woleli pasać krowy niż iść do szkoły. Często się zdarzało, że szli do szkoły, ale torby z książkami nieśli na pastwisko i tam cały dzień przesiedzieli z pastuchami. Jak uczniowie wracali do domu to i oni też szli do swojego. Ojciec początkowo nie wiedział o takich poczynaniach synów, dopiero nauczycielka przy pierwszej okazji zapytała: dlaczego pan Piotr nie wysyła swoich synów do szkoły. Zaskoczony ojciec mówił, że codziennie żona wysyła ich do szkoły i nawet wkłada kanapki. To też ich edukacja zakończyła się na trzeciej klasie szkoły podstawowej.

W krótkim czasie po Zielonych Świątach w Żeszczynce pojawili się żołnierze, którzy mieli się zająć wysiedleniem ludności. Mówiono, że najpierw będą wywozić Ukraińców i prawosławnych, których w Żeszczynce było parę rodzin. Mieszkańcy nawzajem się oskarżali. Jeden sąsiad na drugiego, dlaczego ja a nie on, przecież on też w cerkwi był chrzczony. Po kilku dniach okazało się że cała wieś jest na liście do wysiedlenia. Tak też się stało.

Pewnego poranka na podwórku Choryńców zjawił się żołnierz. Zza mankietu wojskowego munduru wyjął kartkę z nazwiskiem i wręczył Piotrowi – co miało znaczyć, że ma się przygotowywać do wyjazdu. Pierwszy raz w życiu Piotr czuł bezsilność, łzy płynęły po policzkach jak dziecku, były dowodem jego załamania i słabości, wobec nowego problemu. Ślub brał w kościele rzymsko – katolickim, dzieci też chrzcili w tym kościele.

Tutaj miał nowy duży dom, chociaż drewniany, ale na te czasy świadczył o zamożności tego gospodarstwa, stodoła, spichlerz, obora, troje koni tłustych, cztery krowy, owce no i narzędzia najbardziej potrzebne w gospodarstwie. Gdzie jechać, po co, na czyje w nieznane i dalekie strony. Tutaj pola zrodziły jak na żal - urodzajne plony, pełne stodoły siana. Jak tam gdzieś w nieznanym przetrwać zimę, jako wyżywić sześćoosobową rodzinę.

Czy w ogóle znajdą dla siebie dom do zamieszkania. Dzieci nie zdawały sprawy z tego, co się dzieje, a już w ogóle mała Stefania. W głębi myślała, dlaczego tak się wszyscy smućą, przecież zobaczymy inny świat, innych ludzi, wagony, miasta i inne wsie.

Całe rodziny z gratami na wozach wyjechali na stacje PKP w Orchówku k/Włodawy. Tam czekali jeszcze dobę na podstawienie wagonów. Cały dobytek ryczał, kwiczał, pisał. Czekali na wielką niewiadomą, która była przed nimi. Strach i niepewność następnego dnia przenikały serca rodziców i wszystkich dorosłych. Tylko dzieci beztrosko biegały między furmankami załadowanymi rupieciarnią, którą brano na wszelki wypadek. Stefania ze swoją koleżanką Adelą biegały między wozami, grając w chowanego. Adela wraz z braćmi i mamą zaraz z Orchówka wróciły do domu. Wcześniej jej ojca zabrali Niemcy na Majdanek i tam został stracony – spalony. Jeden z braci był zawodowym wojskowym, który poczynił starania pozostania swojej rodzinie i powrotu do swojej rodzinnej wioski. Dziewczynki dowiedziawszy się o rozstaniu zaczęły szlochać. Łzy rozpacz płynęły po policzkach, psoty i zabawy wyszły nagle z głowy. Dziewczynki pożegnały się, rączkami nawzajem obejmując się, ze szlochem wróciły do swoich mam. Były bardzo smutne, czy kiedyś się jeszcze spotkają. Wkrótce zostały podstawione wagony towarowe. Stłoczeni ludzie, kilka rodzin w jednym wagonie, spali i posilali się na pakunkach. Nie było gdzie załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, trzeba było czekać kiedy wagony przystaną. Wówczas wszyscy wychodzili na sąsiednie tory. Z małego okienka umieszczonego wysoko, ciekawscy wspinali się na różnych przedmiotach i oglądali ciekawy pejzaż, jednocześnie połączony z lekcją anatomii. Matki starały się w tym czasie odnaleźć swoje krowy, aby szybko udoić i nakarmić ciepłym mlekiem czekające dzieciaki.

Podczas takiego transportu, który rozpoczął się przed wieczorem Stefania zobaczyła to, co utrwaliła na zawsze, czego nigdy później nie zobaczyła. Właśnie jechali przez Warszawę, przez zupełnie zburzoną stolicę. Zapamiętała kikuty wysokich kominów, które jakby ubolewały nad tym, co legło u ich podnóża, były to góry gruzu. Mała główka nie mogła zrozumieć,

gdzie są ci ludzie, ile jest pod gruzami, kiedy powrócą i do czego, kto i kiedy to wszystko uporządkuje. Mimo, że wagony migwały, zobaczyła wśród gruzu samotnego psa, który zapewne szukał swojego pana, może przyjaciela, który by go nakarmił. Ta część Warszawy była pusta i straszna.

Po tygodniu zajeżdżał transport do Ścinawy, nieznajomej nikomu miejscowości. Inne budownictwo, inne drogi, zupełnie obce miasto, zdawało się, że i niebo jest inne. Znowu wszyscy ścigali swoje tobołki, swoją chudobę. Konie zaprzęgali do wozu, krowy przywiązywali do drabiny, na wóz ładowali przeróżne tobołki, dzieci i starców. Razem z rodziną Choryńców jechała matka Piotra, niewidoma od kilku lat. Mimo, że w Żeszczynce została jej córka. Jednak wołała jechać w dalekie strony z synową. Ta staruszka była bardzo ciekawa jak wygląda nowy krajobraz. Często prosiła małą Stefanię, aby jej opowiadała. Najczęściej jechały nocą, w dzień tylko krótkie odcinki i długie postoje. Mała Stella, jako siedmioletnia dziewczynka walką otrzymywała miejsce przy małym okienku. Była tak bardzo ciekawa, potrafiła nawet ze łzami w oczach walczyć o to miejsce.

Ze stacji PKP w Ścinawie tabory z rodzinami rozjechały się w różnych kierunkach. Część rodzin skierowano do Lasowic, część do Przechowa, do Chelmikowa i Oleśnicy w województwie wrocławskim. Rodzinę Choryńców skierował sołtys do wielkiej dwupiętrowej kamienicy w Lasowicach. Razem zamieszkały rodziny: Niedźwiedzkich, Skrzyńskich, Ignatiuków - Adama i Marii zw. Papiieżami. Przy tym wielkim murowanym domu stała mała ogólna piekarnia. Repartianci wykorzystali zaplecze tej piekarni jako pomieszczenie dla bydła i koni. W piecu ogólnym przychodzili piec z całej tej części wioski. Wiktoria miała najbliżej do pieca zwanego chlebowym, często piekła bułeczki z jabłkami i z cukrem tzw. kalesony. Szybko wychodziły zapasy mąki i ziemniaków. Strach ogarniał przed zimą, wszyscy bali się głodu. Po miesiącu Wiktoria dowiedziała się, że dzielą artykuły żywnościowe między przesiedleńców. Przydział zależał od ilości członków rodziny. Pewnego dnia Wiktoria przyniosła parę kilogramów mąki kukurydzianej, z której żadna gospodyni nie potrafiła nic przygotować do jedzenia, eksperymentowano. Raz Wiktoria robiła placuszki, innym razem zacierkę i bułeczki pieczone w piecu. Początkowo wszystko było twarde i niesmaczne. Z czasem przyzwyczajono się do takiego smaku. Piotr postanowił, żeby pojechać na dawne posiadłości, może tam się uda zebrać trochę zboża, przecież było jego. Zostawił tyle hektarów zasianych. Przecież sam uprawiał ziemię, sam zasiał, chyba miał prawo zebrać, chociaż trochę, na zimę, na wyżywienie rodziny. Ale to były tylko takie życzenia. Piotr nie

wrócił szybko do domu. Najbardziej z tego stanu rzeczy zdawała sprawę Wiktoria, która całymi niemal dniami płakała, płakała Stefcia widząc mamę w takim stanie. Bliźniacy jako, szesnastolatkwie myśleli, czy podołają nowym wyzwaniom, nowym trudnościom, jakie stały przed nimi, wśród nieznajomych ludzi.

Przesiedlenie niby miało mieć charakter dobrowolny. Wyjechały wówczas rodziny bezrolne oraz mieszkańcy kilkudziesięciu wsi z terenu Chełmszczyzny i Hrubieszowskiego. Właściwie przygotowania organizacyjne do wysiedlenia Ukraińców rozpoczęto w styczniu 1947 roku. Oddziały wojskowe otrzymały rozkaz opracowania spisów rodzin ukraińskich i mieszanych.

Po śmierci gen. Świerczewskiego 23 marca 1947 roku, polska propaganda rozpoczęła prawdziwą nagonkę przeciw Ukraińcom, zarzucając im zbrodnie. Wszystkie decyzje w sprawie akcji „Wisła” podejmowało Biuro Polityczne PPR, jak i również o osadzaniu ludności ukraińskiej, cywilnej, duchownej, grekokatolików i prawosławnych, całą inteligencję ukraińską w obozie koncentracyjnym w Jaworznie, na terenie filii byłego hitlerowskiego obozu w Oświęcimiu. Tam więźniowie ponosili śmierć z wycieńczenia, wskutek tortur, samobójstw popełnianych na drutach obozowego ogrodzenia.

1. Włodawa, 18 maj 1947 roku

Protokół zjazdu aktywu PPR z terenu pow. Włodawskiego

„w dyskusji tow. Gress Stefan prosił o wyjaśnienie czy repatriacja jest przymusowa, o ile tak, to jak rozgraniczyć Ukraińców i Polaków, a mówiąc krótko, kogo mamy liczyć za Ukraińca, a kogo za Polaka, na którego pytanie nie dano odpowiedzi”.

Protokół tow. Andrzejuk Bazyli

„16 lipiec 1947 roku rozkaz nr 0010 dowództwa Grupy Operacyjnej „Wisła” – regulujący zasady aresztowania i osadzania w Jaworzynach Ukraińców powracających do poprzedniego miejsca zamieszkania”. Tajne.

2. *W związku z tym rozkazuję:*

„Wszystkie oddziały wojskowe i placówki MO i ORMÓ muszą stale i pilnie sprawdzać i zatrzymywać osoby, które wywiezione bezprawnie powróciły”.

„Urzędy Bezpieczeństwa – w myśl otrzymanych instrukcji – kierować będą te osoby do obozu pracy w Jaworznie”.

3. *Dowódca Grupy Operacyjnej „Wisła” Stefan Mosso generał brygady:*

Lipiec 1947 roku (ocena sytuacji politycznej)

„Według oceny politycznej w województwie lubelskim wynikające z raportu WUBP w Lublinie”.

Dla Ministra Bezpieczeństwa, generała brygady St. Radkiewicza

„W związku z przesiedleniem ukraińskiej ludności na tereny zachodnie krążą pogłoski o tym, że wysiedla się nie tylko ludność ukraińską, ale też polską, a to robi się po to, aby później na ziemiach polskich zaprowadzić kolchozy na wzór sowiecki”.

Org. Maszynopisu AUOP, Gabinet MBP

Ze statystyk wysiedleńczych opracowanych przez Sztab Generalny WP wynika, przesiedlono 140 000 Ukraińców – Włodawa – 6543 osoby wysiedlono, 24 transporty.

4. Władze miejscowe wykazują małe zainteresowanie ludnością osiedloną, nie przychodzi z pomocą, ludność wcześniej tam przybyła, również też się zagospodarowują”.

Ciężki stan materialny tej ludności wymagał natychmiastowej pomocy ze strony państwa i całego społeczeństwa w okresie siewów jesiennych, zarówno podczas zimy i wiosny.

Aresztowań dokonywali żołnierze WP pod nadzorem funkcjonariuszy UBP, (Urząd Bezpieczeństwa Publicznego), oddelegowanych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego do poszczególnych dywizji, pułków, batalionów na podstawie uprzednio opracowanych list. Brak wyraźnych kryteriów stwarzało możliwości bezkarnego popełniania nadużyć. Dwukrotnie większa liczba osób wysiedlonych od zakładanych spowodowała wiele problemów podczas wysiedlania: organizacja transportu, osiedleń na ziemiach zachodnich, do których miejscowa administracja nie była przygotowana.

16 lipca gen. Mossor wydał tajny rozkaz nr 010, na mocy, którego osoby powracające do poprzedniego miejsca zamieszkania z ziem zachodnich mają być aresztowane i zsyłane do obozu koncentracyjnego w Jaworznie.

Akcja „Wisła” to masowa represja karna wymierzona szczególnie w ludność ukraińską cywilną i członków podziemia – ponad 700 kobiet i dzieci. Sędziowie wojskowi w trybie doraźnym skazało 2810 osoby na karę śmierci wszystkich narodowości i ludzi sprzyjających podziemi.

Dokładna liczba aresztowanych i skazanych w czasie akcji „Wisła” i po jej zakończeniu dotychczas nie jest znana, prawdopodobnie wynosiła około 150 000 osób.

Aresztowanie Piotra

Piotr jechał w rodzinne strony, wioząc w sercu wielką tęsknotę za wszystkim, co można nazwać małą ojczyzną. Znał w swoich stronach każdy pasek pola, łąki i lasu. Wiedział, do kogo należy i kto, z kim sąsiaduje przez miedzę. Znał kierunki wiatru i z której strony najczęściej nadciągają chmury deszczowe lub burzowe. Kochał tutejsze noce parne, wieczory długie jesienne, zimowe zamiecie i mroźne poranki. Wiele postaci, rzeczy i przedmiotów stawało przed oczami. Podczas podróży w myśli wyliczał, co zostawił w swoim gospodarstwie: sprzęt do żniw. Była to nowa żniwiarka ze skrzydłami, które zrzucały garście zboża gotowe do wiązania. Pędził pociągiem z podmuchem wiatru, żeby szybciej zobaczyć własny dom, podwórze, ścieżki, którymi zmierzał niemal codziennie na swoje, życiem pachnące pole. Kochał ziemię i pracę na niej. Zajechał pociągiem do Orchówka i stamtąd postanowił iść do Włodawy, do władz powiatowych, jakimi były Służby Bezpieczeństwa. Prosić choćby na kolanach, błagać o powrót z dalekich ziem zachodnich do swojego domu. Przecież w życiu nigdy nie był tak daleko i całym sercem kochał swoją najbliższą ojczyznę. Na myśl, że rodzina na polskim, prawie bez środków do życia, a tu zostało wszystko swoje. Dlaczego tak? Dlaczego? Pragnął ówczesnym władzom wytłumaczyć. Był przepełniony wielką nadzieją, że w końcu znajdzie kogoś takiego, że to wszystko odmieni, pozwoli wrócić na swoje, gdzie wszystko skropione potem jego i żony, matki i ojca, babki i pradziadka. Skierował swoje kroki do Urzędu Bezpieczeństwa we Włodawie, właściwie same nogi go tam niosły. O dziwo, pod drzwiami spotkał swojego kolegę z Żeszczynki, Haworuszko Maksyma, którego rodzina również była na ziemiach zachodnich. Mieszkała w sąsiedniej wsi w pobliżu Lasowic - w Przechowie. Spotkanie kolegów sprawiło, że stali się odważniejsi i weselsi. Jeden drugiego pocieszał i dodawał nadziei. Haworuszko tak jak zwykle z uśmiechem i żartami proponował, aby Piotr wszedł pierwszy, jest bardziej obrotny i wygadany, chociaż nic nie brakowało w gadce Maksymowi. Tak się stało, wszedł Piotr, dostojnie i to bardzo pokornie, ścisłym głosem jak tylko potrafił, z ukłonem powitał władze. Przedstawił się i podał cel swojej wizyty. W tym czasie zadzwonił telefon, urzędnik podniósł słuchawkę. Słuchając głosu w słuchawce, mina jego z każdą chwilą stawała się ponura i groźna. Zaczął notować skrupulatnie. Po skończonej rozmowie i odłożeniu słuchawki, zamyślony wyszedł do drugiego pokoju.

Tam słyhać było rozmowę. Piotr mocno nastawiał słuchy, nic nie mógł zrozumieć mimo, że drzwi były otwarte. Po niedługim czasie kazano ze swoim bagażem iść za urzędnikiem. Szli długim korytarzem, jeszcze teraz Piotr miał nadzieję, że go wysłuchali. Doszli do żelaznych krat, klucz został przekreślony i kazano wejść do celi. Piotr został aresztowany. Za co? Rozmyślali, to chyba pomyłka. Po pewnym czasie się okazało, że jedyną przyczyną jego zamknięcia było to, że bardzo dużo ludzi wracało do swoich miejscowości i w tym czasie było dużo napadów bandyckich, rabunków, różnych rozliczeń z przeszłości, być może jeszcze wojennych oraz próby łatwego zdobywania łupów. W Żeszczynce również napadnięto na właściciela restauracji – Kopra. Zabrano mu pieniądze i pobito. Władze uważali, że tego dokonują Ukraińcy powracający z wysiedlenia. Prawdopodobnie był to telefon w tej sprawie do UB we Włodawie. Był to rozkaz, aby aresztować wszystkich zgłaszających się, którzy byli wysiedleni na ziemię odzyskane. Piotr zupełnie był pewny, że jest niewinny i nie będą go długo trzymać. Może po paru dniach dadzą mu pozwolenie powrotu z rodziną do domu. Klucze za nim zazgrzytały żałośnie, wobec których Piotr był bezsilny. Kiedy klucz został przekreślony, po wejściu za drzwi, Piotr ujrzał znajomego z sąsiedniej wsi Sapiechowa - Świętochowskiego Dionizego. Był on tymczasowo aresztowany za to, że jego rodzina nie pojechała, postanowiła zostać w swoim domu za wszelką cenę. Obaj rozmawiali jako najlepsi przyjaciele, bo przecież byli sąsiadami. Rozmowa była pełna nadziei i wiary, że wkrótce wrócą do swojego domu, ale jeszcze gdzieś tam za drzwiami został kolega Howoruszko. Howoruszko myślał: napewno Piotr dostanie pozwolenie do domu. Właściwie zaczął się dobijać do drzwi UB. Nasilał pukanie, potem stukiwanie i stanowczo oznajmiał, że koniecznie chce wejść do środka. Nawet jeden ze strażników się zdenerwował jego zachowaniem. Wyszedł, aby go odgonić „panie odejdź od drzwi póki jest jeszcze czas”. Panie kochany - mówił Maksym, - mój kolega tam jest, on się wystara o pozwolenie na powrót do domu, a ja nie. Panie odejdź - zaczął go odpychać strażnik, czego się tam pan pchasz? Panie wpuść mnie tam, ja nic więcej nie chcę. Maksym był zawsze bardzo uparty i wytrwale tym razem dążył do celu. Natrętnie się pchał i prosił głosem błagalnym. W końcu urzędnik się zdenerwował i powiedział: – a idź pan do tego swego kolegi. Maksym z radością i z ukłonem podziękował. Zawsze umiał być bardzo uprzejmy za okazaną mu przysługę. Nie miał pojęcia, co go czeka. Następny strażnik zaraz wepchnął szybko do kolegi. Potem, po kilku latach, Piotr Maksymowi powiedział jak bardzo się ucieszył, że zobaczył go

w celi. Z każdym dniem przybywało mężczyzn, którzy nie zdawali z tego sprawy, żartowali, dowcipkowali sobie, opowiadali nawzajem różne przygody i zdarzenia. Po kilku dniach tematy się kończyły zaczęli śpiewać. Piotr znał wiele piosenek i bardzo lubił śpiewać. Po niedługim czasie cela była napelniona, Znalazło się wiele osób z okolicznych wiosek. Zarzuty były jednakowe - chcieli wrócić na swoje miejsce poprzedniego zamieszkania. Tam gdzie wrosli i pokochali swoją ziemię i pracę. Znaleźli się tam: Bazyli Makarewicz z Żeszczynki, Kalitka z Wagnianki, Mikołaj Semeniuk z Bokinki Pańskiej, Sosnowski Józef, Halczuk Grzegorz z Rozwadówki, Potapiuk Józef i Mazurek Adam z Czeputki i inni z pobliskich wiosek. Po kilku dniach aresztu, kiedy już cele były pełne, postanowiono ich wywieźć. Nikt nie wiedział dokąd jadą, bardziej niż pewni byli, że jadą do domu, jeszcze jako tako humory im dopisywały. Najpierw zawieziono do Lublina na Majdankę. Podczas transportu mieli wrażenie, że nikt ich nie pilnuje. Opowiadali później, że jakby bardzo chcieli, można było uciec. Żeby chociaż trochę zdawali sobie sprawę co ich czeka, można było zbiec z transportu, nikt nie sprawdzał, nie liczył. Dlaczego mają uciekać, przecież nie są przestępcami, nie nikomu nie zawinili. Myny były bardziej ponure. Stracili dawne humory, przestali opowiadać i dowcipkować, nie chciało się nawet ruszać językiem. W Lublinie nastąpiła zmiana transportu, przeładowano ich do innych wagonów. Zmienili się strażnicy i zmienił się stosunek do aresztowanych. Wówczas na dobre pojęli, że nie jest tak jak myśleli, Byli bardzo pilnowani, nawet podczas załatwiania potrzeb fizjologicznych - stał strażnik. Obchodzono się z nimi bardziej rygorystycznie i twardo. W ten sposób dostarczono cały transport do Obozu Pracy w Jaworznie. Tutaj na dobre zrozumieli, że nie są to żarty, że traktują ich jak wielkich przestępców politycznych lub zbrodniarzy. Baraki ogrodzone wysokim murem z wieżyczkami, co kilka metrów. Za murem kilka rzędów wżyz - druty kolczaste, każdy pod napięciem elektrycznym. Rozesłali ich po celach, które wywarły wielkie wrażenie. Spali na gołych pryczach, na których były dwie deski. Stały one pod ścianami w dwu rządach, bez siennika i poduszki. Kilka dni nic nie jedli. Nie mieli, nie dostali, stracili również apetyt, jak zobaczyli posiłek. Z dnia na dzień głód zaczynał im doskwierać. Za wszelką cenę musieli zdobyć naczynie. Była to blaszka trochę powyginana, aby nie pokaleczyć rąk i aby więcej weszło - samoróbka. Taka sama łyżka i nóż wyklepane z kawałka opakowania po konserwie. Początkowo czekali na naczynia po kimś, ale już nie było co zjeść, trzeba było czekać do następnego dnia. Ci, co podeszli na końcu musieli odejść z niczym, nawet brakowało

polewajki. Przeszli tam piekło, byli bici i głodzeni. Za karę wyganiałi na gliniaste pole na ćwiczenia. Kto był słaby albo chory stamtąd żywy nie wrócił do obozu. Codziennie dziesiątki więźniów wynoszono na noszach z celi, aby grupowo ich pochować we wspólnej mogile. Umierali z głodu, chorób i pobicia. Kto miał silny organizm to przeżył piekło jakie przygotowali swoi swoim. To było drugie półrocze – koniec roku 1947 i początek 1948r. Początek władzy ludowej w PRL, w którym Polacy Polakom zgotowali śmierć. O aresztowaniu władze nie poinformowali rodzin, było to objęte wielką tajemnicą. Ani listu, ani żadnej wiadomości, nie wiadomo czy kto zamordował, czy z innych przyczyn zginęli bez wieści. Wiktoria z dnia na dzień żyła nadzieją, że wróci, może rano, może wieczorem, może jutro lub po jutrze. Tak schodziły tygodnie i miesiące. Z obozu nie wolno było korespondować z rodziną. Po paru miesiącach się dowiedziała od zupełnie obcych ludzi. Piotr w obozie bardzo prosił o powiadomienie żony oraz podanie adresu do Obozu Pracy w Jaworznie, żeby wysłano mu paczkę żywnościową, na którą każdy czekał każdego dnia. Powiadomił Wiktorię mężczyzna z Hołowna k/Włodawy, który tak jak Piotr został wywieziony z rodziną. Miał on bliskiego krewnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie i za jego protekcją został wcześniej zwolniony. Dzięki niemu rodzina Piotra dowiedziała się, że żyją. Wszyscy byli szczęśliwi, że są żywi i na razie zdrowi. Więźniowie czekali, kiedy przyjdzie ta szczęśliwa chwila, że wywołają i powiedzą, że można wracać do swoich rodzin i do miejsca swojego urodzenia Czy wystarczy im sił i zdrowia. Teraz z dnia na dzień czekali na paczkę żywnościową, która oznaczała przedłużenie życia i walkę o każdą chwilę. Po otrzymaniu wiadomości Wiktoria niezwłocznie postanowiła zawiadomić rodzinę Maksyma Horuski. W tym celu poszła do Przechowa, w którym mieszkało kilka rodzin z Żeszczynki. Odwiedziła żonę Maksima – Helenę, która mieszkała z dorastającymi córkami i synem. W pogodną niedzielę wzięwszy ze sobą Stefanię, poszły najpierw do kościoła potem odnalazły dom Heleny z rodziną. Znały się bardzo dobrze, ponieważ pochodziły w tej samej wsi. Wiktoria chciała, jak najszybciej podzielić się swoją dobrą nowiną, ale jeszcze bardzo pragnęła z kimś porozmawiać o wspólnych sprawach, o których z nikim innym nie mogła. Helena sprawiała wrażenie osoby wystraszonej, nieufnej, mało rozmownej. Rozmowa im się nie kleiła. Helena ciągle powtarzała jedno: ja chcę do swojego domu. Wiktoria starała się spokojnie wytłumaczyć, że przecież tego samego pragną, należy teraz cierpliwie czekać i modlić się, aby szczęśliwie mężowie powrócili z Obozu

Pracy do domu. Może jednak kiedyś nadejdzie czas, że powrócą na swoją ojcowiznę. Helena sprawiała wrażenie, że nic do niej nie dochodzi. Wiktoria postanowiła wrócić do domu, ciągle mając na myśli, dlaczego tak się Helena załamała psychicznie, gdzie podziała się ta dawna piękna i wesoła kobieta. Z pięknej Heleny pozostał tylko cień kobiety. Wróciwszy do domu, zaczęła sama liczyć na siebie. W ukryciu przesuwawy się różne myśli. Boga prosiła, aby wytrwać, aby się nie załamać, przecież ma dla kogo żyć i walczyć z dnia na dzień o przetrwanie. Zastanawiała się, z czego zrobić paczkę i żeby jak najszybciej wysłać swojemu mężowi. Wszystko należałoby kupić, a pieniędzy nie było skąd wziąć. Karolek i Julek codziennie chodzili do Niemca do roboty, który przyjął obywatelstwo polskie. Była to rodzina Klumba. Prowadził gospodarstwo rolne. Chłopcy kopali ziemniaki, wrywali buraki, robili śrutę dla zwierząt, pomagali we wszystkich pracach gospodarskich. Płacił on przeważnie produktami rolnymi. Dostawali ziemniaki, dzięki którym można było przetrwać zimę. Wiktoria pasła nimi świnię, dostawali już gotową śrutę. Niekiedy płacił im pieniędzmi, które Wiktoria przeznaczała na drobne wydatki. Polubił on chłopców i ich pracę. Nadchodziła zima, Wiktoria zdawała sprawę, że Piotr nie ma ciepłych butów. Postanowiła do paczki włożyć porządne buty skórzane z cholewami, które jeszcze w domu zrobił szewc z wyprawionej skóry cielęcej. Chłopcy do butów włożyli naciętego tytoniu też z domu przywiezionego, za który wszystko można było kupić w więzieniu. Włożyła też ciepłe kalessy, trochę kiełbasy i chleba swojskiego, który był przysmakiem. Tam nie można było samemu zjeść, tylko spróbować po troszeczkę wszystkiego. Były wypadki, że po najedzeniu się do syta, więzień dostawał skrętu jelit.

Na obczyźnie

Nigdy nie można było powiedzieć, że to nasze, zawsze nasze było daleko zostawione na Podlasiu. Tu do końca było obce, chociaż dom był duży, murowany, cały podpiwniczony. Nigdy dotąd Wiktoria takiego nawet nie widziała. Horyńcom taki dom ani piwnica nie była potrzebna. Ich czteroosobowa rodzina w zupełności się mieściła w jednym pokoju i obszernej kuchni. Nie byli przyzwyczajeni do takiego domu. Przed domem wielki ogródek z drzewkami owocowymi. Część parteru było pustego i całe piętro. Początkowo zamieszkiwali razem - Niedźwiedzcy. Pozostał dłużej Bronek z Żuławy. Jego rodzice wcześniej wyjechali, później zabrali go w swoje strony. Na parterze mieszkał Ignaciuk Adam zwany „Papieżem”. To

on czasami rozweselał Wiktorię piosenkami, różnymi opowiadaniem, nawet często rozmawiał po niemiecku, ponieważ pamiętał jak był na robotach przymusowych w Niemczech. On nigdy się niczym nie martwił, taki to już był zawsze. Potem zamieszkali oboje Skrzyńscy. Nie było im dobrze z synem, synową i dwojgiem dzieci. Tutaj było przestrzennie i wygodnie.

Nigdy wcześniej Wiktoria nie wyobrażała spędzenia Świąt Bożego Narodzenia bez męża. Święta w roku 1947 spędziła na ziemiach zachodnich. Nigdy nie przypuszczała, że sama musi zadbać o swoją rodzinę. Codziennie myślała o Piotrze, codziennie płakała, same łzy cisnęły się do oczu. Zadawała pytanie, czy kiedy chociaż jeszcze żywego zobaczy. Przygotowania do świąt czyniła z myślą jak było w domu. Żeby chociaż troszeczkę przenieść tradycji z dawnej rodziny w wigilię. Napiekła bułek drożdżowych dwa rodzaje, jedno były z serem, drugie ciasto smarowane olejem, posypane cukrem, zwinięte w rulonik. Bułeczki wyglądały jak serduszka, pulchne z chrupiącym cukrem, zapieczone z wierzchu.

Wiktoria gotowała i piekła w duchówce umieszczonej w wielkim piecu kaflowym, który w kuchni zajmował honorowe miejsce. Był to słupkowy piec, z brązowych kaflów, na których wyciśnięte motywy roślinne, zakończony u góry narożnymi kaflami bardzo ozdobnymi. Nikt wcześniej takich kaflów nie widział. U Horyńców w domu rodzinnym piec ogrzewałny tzw. ścianka, zrobiony był z cegły i otynkowany gliną. Takie piece były w każdym domu na wsi. Piec kaflowy w niemieckiej kuchni był najważniejszy. Tam Wiktoria zapiekała kapustę z grzybami, które były przewiezione z domu. Zapas był duży, ponieważ chłopcy niemal codziennie do śniadania przynosili duży, kartoflany kosz kraśniaków i borowików. Wiktoria specjalnie paliła w piecu chlebowym, aby wysuszyć grzyby. Na tą wigilię ugotowała kisielu owsianego ze śruty dla zwierząt przyniesionej od Klumba dla zwierząt.

Smakował bardzo wszystkim. W święta krasila Wiktoria skwarkami z tłuszczem, które były wielkim przysmakiem. Bardzo było przykro małej Stefanii jak zobaczyła piękną choinkę w oknie u sąsiadów. Stefania o zmierzchu ukradkiem szła pod okna, aby się przyjrzeć, co to za cacko, gdyż nigdy takiego nie widziała. Bardzo pragnęła mieć takie drzewko, ale jej mama jeszcze nigdy nie robiła nawet w swoim domu. Tutaj bardziej nie miała pieniędzy na zabawki. Zaraz po świętach Stefania sama postanowiła pójść do parku i łaćmac sosnowych gałązek i zrobić choinkę. Cieszyła się bardzo, gdy mama pomagała jej ubierać wycinankami z książek niemieckich, które zalegały na strychu. Wycinała kółka, gwiazdki, kwadraty i trójkąty. Julek zrobił otwór w drewnianej kłodce, która służyła za stojak. Przy tej

choince nawet śpiewali kolędy. Chłopcy umieli bardzo dużo, ponieważ przed wyjazdem chodzili z gwiazdą. Ich kolega - Heniek Kalinowski przynosił kantyczkę¹¹. Z której uczyli się słów kolęd.

Obecny sąsiad, Sokołowski, który był sołtysiem, chyba dużo wcześniej przyjechał na te ziemie. Miał wszystko polskie, różne mieli przedmioty, nie wiedzieli czasami, do czego nawet służyć. Wiktoria nigdy nie szła do sąsiadów w żadnej sprawie, nigdy nic nie pożyczowała, nie była nikomu ufna.

Tej zimy były bardzo dobre warunki do jazdy na łyżwach. Chłopcy sobie odnaleźli na strychu łyżwy metalowe, takich nigdy nie widzieli wcześniej. W domu zawsze robili sobie drewniane, pomagał im przy tym pierwszy raz ojciec. Chłopcy bardzo się cieszyli z nowych łyżew. Stefcie też dobrali jedną metalową, tak chciała, bo nigdy wcześniej nie jeździła na łyżwach. Odra miała kilka odpływów, które w zimie zupełnie były pokryte lodem. Po śniadaniu, we trójkę szli na lód i tak czasami wracali wieczorem. Niekiedy Wiktoria się martwiła, aby się im nic złego nie przytrafiło. To była najpiękniejsza zabawa w ich życiu. Jazda z dnia na dzień wychodziła coraz lepiej. Tam na łyżwach jeździli nie tylko dzieci, lecz i dorośli. Wieczorem wszyscy wracali bardzo zmęczeni. Stefcie bardzo bolała jedna noga, którą się podparła. Następnym rankiem, po odpoczynku znowu wyruszyli na ten wspaniały sport zimowy. Z dnia na dzień pozyskiwali większą umiejętność. Przechodziła zima 1947-48. Trudno było przetrwać ze względu na brak opału. Nie było pieniędzy na zakup drewna, ani węgla. Karol z Julkiem chodzili z workami i przy szosie zbierali patyki, niekiedy szli do lasu, ale się bali obcych ludzi. To była najdłuższa zima w życiu Wiktorii. Nadchodziła upragniona wiosna, topniały lody, do życia budziła się przyroda. Jabłonie i inne drzewa owocowe, którymi tam były wysadzone drogi i obrzeża lasów nabierały pąków. Przy domu w ogrodzie rosły brzoskwinie. Nikt wcześniej nie widział takich drzewek. Wraz z wiosną budziła się nadzieja w każdym sercu, nadzieja, że coś się zmieni na lepsze. O tej porze roku łatwiej przeżyć, łatwiej zdobyć pożywienie, nie potrzeba tyle opału i ciepłego ubrania. Sołtys wyznaczył skrawek ziemi, aby posadzić trochę ziemniaków. Bliźniacy, chociaż nie mieli wielkiego doświadczenia w pracach gospodarskich, ale pod kierunkiem swojej mamy wszystko robili jak najlepiej. Trawę koniom i krowie kosili kosą w dorzeczu Odry. W dzień konie wypędzali na wspólne pastwisko tzn. wygon. Tam pasło się ich dziesiątki. Chłopcy dosiadali

¹¹ Zbiór kolęd

wierzchu koni i ze sobą zabierali małą Stefanię, która nigdy nie chciała się od nich odczepić. To było bardzo przyjemne zajęcie o poranku i później przed wieczorem, kiedy zabierano konie do domu. Najbardziej interesujący był jeden z koni, była to młoda żrebica, przywieziona z domu. Miała ona różne humory. Wiktoria tłumaczyła jej zachowanie, że jest naturowista. Były niekiedy z nią przedstawienia, cała wieś się przyglądała jak nie chciała ruszyć z miejsca pustego wozu. Dzieci z Lasowic zbiegały się i pchały woź razem z koniem. Nie wiadomo było, kiedy jej przyjdzie do głowy i ruszy do przodu. Jak wyrwała, to trudno było chwycić za lejce i w locie wsiąść do wozu. Sprytniejsze dzieciaki wskakiwały w wielkim pędzie, przy tym było wiele radości i dobrej zabawy.

Tej wiosny chłopcy zmajstrowali rower trzykołowy, gdy sami się nacieszyli dowoli podarowali swojej siostrze. Posadzili ją na siodełku, nogami nie dostawała do pedałów i mocno popychali z rozpędu. Jeszcze raz z całej siły popchnęli aż Stefania zrobiła kilka koziółków. Znak pozostał na całe życie. Z kolana powstała wielka kapusta, Wiktoria musiała zaraz do lekarza. Powstała rana długo się nie goiła. Ta dawna przygoda na ziemiach zachodnich pewnie częściowo zadecydowała o inwalidztwie w późniejszych latach.

Stodoła, z której korzystało wiele rodzin przyjezdnych stała za wsią, tuż przy drodze do Chełmikowa. Była to wielka murowana budowla, takich na wschodzie nie było. Tam składowali siano i słomę, tam też ustawili sieczkarnię, którą przywieźli z domu. W zimie i na wiosnę ręcznie rżnęli sieczkę dla krowy i konia. Najczęściej Julek z Karolkiem wykonywali tą czynność. Do tej stodoły biegali codziennie po kilka razy, chociaż była oddalona około pół kilometra drogi. Pewnego poranka, wszyscy spali dłużej jak zwykle. Słońce na dobre zaczęło zaglądać do pokoju. Wiktoria zerwała się, aby coś przygotować na śniadanie, dzieciaki poszli w tym czasie przecierać wodą oczy. Podczas wspólnego śniadania zawsze radzili się wspólnie, co będą robić podczas reszty dnia. Wiktoria z Julkiem mieli pojechać do Ścinawy, aby kupić trochę zboża na zasiew. Karolek zobowiązał się w tym czasie urządzić sieczki, aby było co dać koniom. Karolek miał poddawać bardzo cienko, tak, aby Stefcia dała radę kręcić kolbą. Kiedy w ladzie było mało słomy, zaczęła mocno rozkręcać koło zamachowe sieczkarni. W tym czasie jedna długa słoma nie poszła w wałki tylko do koła. Karolek bezmyślnie chciał szybko ją zabrać i skierować do lady. Nie zdążył, rozpędzone koło z nożykami w tym czasie, bardzo krótkim, dosięgło palców prawej ręki, szczególnie wskazujący i środkowy, którego część wpadła do

sieczki. Karolek z jękiem, ściskając jedną ręką drugiej palce, biegł szybko do domu. Stefania nie bardzo wiedziała, o co chodzi, biegła za nim. W domu jeszcze nie odjechali, ale wóz był przygotowany do podróży. Wiktoria sprawdziła prawą rękę, serdeczny palec trzymał się na skórcie. Szybko podarła jedną koszulkę dzieci i mocno owinąwszy pojechali do lekarza do Ścinawy. Zaraz po powrocie pobiegła do stodoły by odnaleźć małą część ciała swojego syna. Grzebała w niewielkiej ilości sieczki. Bez trudu odnalazła zsiniały kawałek palca, którego skrupulatnie owinęła czystym, białym gałgankiem i zaniósła pod dom w sadzie, w którym zakwitały brzoskwinie. Pod jednym młodym drzewkiem wykopała dołek i zakopała z wielkim smutkiem, małą cząsteczkę swojego synka. Zdawała sobie sprawę, że tam pozostanie na zawsze i na zawsze pozostanie w części inwalida. Karolek już jedną pamiątkę miał po wojnie, a to druga po przesiedleniu na ziemię zachodnie. Mówiono, że Karolek jest pechowy, zawsze był chorowity i przydarzały mu się różne przygody. Jako siedemnastoletni chłopiec już był niewidomy na jedno oko, teraz bez palców na prawym ręku. Mimo to był zawsze sprytny, potrafił nawet tą ręką zbierać jagody. Nieznajomi nie dostrzegali jego inwalidztwa.

Kwitnąca jabłoń

Nadchodziła wiosna, tęsknota do innego życia i do Piotra, przysłańiała radość z budzącej się do życia przyrody. Nie cieszyło ciepło ani świergot ptaków. Słońce, które codziennie zaglądało przez okno, nie dawało radości, którego oczekiwano każdego poranka. Świat był ponury, ciemne myśli codziennie przysłańiała radość życia. Wiktoria płakała codziennie, coraz częściej robiła to w ukryciu. Była nadal smutna i przygnębiona. Oczy jej ożywały radością na chwilę każdego poranka, jak wszyscy wstawali z łóżek i opowiadali swoje sny, do których przywiązywała wielką uwagę. Rozmyślała każdy szczegół, dyskutowała razem i przepowiadała, co może oznaczać lub czego można się spodziewać w najbliższej przyszłości. Wiktoria mówiła, że jej sny się sprawdzają. Nawet była przekonana, że jak się śnią zmarli ale żywi to dobrze, ale jak odwrotnie, to takie sny są złe. Przynoszą same utrapienia i rozczarowania. Tego poranka najpiękniejszy sen miał Karolek. Z wielką ciekawością i uwagą wszyscy się wsłuchiwali a najbardziej Wiktoria roztrząsała każdy szczegół. Karolkowi przysniła się w obecnym ogrodzie jabłoneczka, cała w kwiatkach, nie było widać wcale gałązek ani liści. We śnie bardzo się cieszył, że będą jabłka jak niegdyś

w domu. Wiktoria była pewna, że to jest bardzo dobry sen, napewno nie przyniesie złych niespodzianek, które przydarzały się niemal codziennie. Nadeszła następna noc, wszyscy pogrążeni w głębokim śnie. Wiktoria nie wiedziała czy to sen czy naprawdę ktoś leciutko puka do okna. Oblediał ją strach. Zawsze była czujna i bardzo ostrożna, żeby nie otworzyć nocą komuś niepożądanemu. Wsłuchiwała się jeszcze chwilę, nastawiając uszy, wstrzymując nawet oddech. Aż tu nagle wpada do jej pokoju Adam Ignatiuk zw. Papieżem wołając od progu: to on, to on. Wiktoria zbliżała się do okna, za którym była kwitnąca jabłoń we śnie Karolka, bardzo delikatnie i ostrożnie uchyliła zasłonkę i w tym czasie różne myśli przychodziły do głowy, myśli dobre i złe. Nikogo nie mogła rozpoznać, ale Adam już był przy drzwiach, przekręcał klucz i zapraszał do domu. Wiktoria z ciekawością i ze strachem czekała, kto się ukaże w drzwiach. Zobaczyła nagle postać wychudzoną z oczami głęboko ukrytymi pod trawiastymi brwiami i z wielkim zarostem na twarzy. Ubranie przypominało podarte łachmany zarzucone na kołek, zwisające dziurami z każdej strony. Ktoś, kto nie przypominał ani męża, ani ojca dzieciom, którego nie widzieli ponad od pół roku. Wyglądał jak cień dawnej postaci, która się zbliżała do Wiktorii, aby się przywitać. Na powitanie czekała przecież z dnia na dzień, teraz była tak zaskoczona, że bardziej była przerażona niż uradowana. Czy to Piotr? Zadawała pytanie, ale nie mogła uwierzyć, że człowiek może się aż tak zmienić. Na twarzy jego malowała radość i niedowierzanie. Miałem u Boga szczęście, że pozwolił mi się spotkać z Wami, że pozwolił wytrwać i przeżyć ten koszmar – mówił Piotr, o którym nie jestem w stanie opowiedzieć. Wielu jego znajomych nie doczekało się takiej radości, nie dane im było powrócić do swoich rodzin i domów. Wiktoria najgłodniejszą osobą chciała nakarmić. Jeżeli chcecie abym dalej przeżył – powiedział Piotr, nie nalegajcie abym najadał się do syta, bo to oznacza w tej chwili śmierć. Przecież tak niedawno tylko o tym bardzo marzył. Starał się zapamiętać ostrzeżenia kolegów, którzy widzieli na własne oczy jak po otrzymaniu paczki i najedzeniu się do syta zaraz wynosili na noszach. Po takich zdarzeniach starali się wszyscy dzielić zdobytym łupem od rodziny lub znajomych. Nie można było schować na później, wszyscy się rzucali i rozrywali w parę sekund.

Następnego ranka Piotr zgolił zarost, pod którym ukryta była dawna twarz z dawnymi rysami. Umył się i wdział nowe ubranie, które czekało w kufrze cały czas. Przystosowywał się wolno do nowych warunków, które kiedyś były uważane za normalne. Rano i wieczorem cała rodzina dziękowała Panu Bogu, że są już razem. Ostrzegali wszystkich, że nie może

być bardzo blisko, żeby go nie dotykali, ponieważ ma świerzb. Na rękach, między palcami i po całym ciele widniały krosty, które bardzo swędziały. Niestety nie udało się uchronić rodziny od tej dokuczliwej choroby. Stefania ciągle podchodziła i wchodziła na kolana, aby przytulić się do taty. Piotr z każdym dniem dochodził do siebie, z każdym dniem nabierał sił i nadziei na normalne życie. Ciągle zadawał sobie pytanie, dlaczego musiał się tam znaleźć, przecież nie był zdrajcą ojczyzny, nikogo nie zabił, ani też nie okradł i nie wyrządził nikomu żadnej krzywdy w całym swoim życiu. Codziennie opowiadał, w jaki okrutny sposób z nimi się obchodzili i to swoi, przecież rozmawiali po polsku. Siedzieli tam lekarze, nauczyciele, profesorowie, nawet i księża. Tak samo źle byli traktowani jak wszyscy więźniowie.

Howoruszko Maksym w tym samym czasie wrócił do swojej rodziny, do żony Heleny, ale nie do takiej samej. Wcześniej była piękna, zaradna, rozmowna a teraz zupełnie nienadająca się do życia tylko do leczenia. Zdawali sprawę, że to wysiedlenie i związane z nim przeżycia zabrały na zawsze zdrowie wielu ludziom jak i żonie Maksyma Lekarze nie wiele pomogli, depresja była tak silna, że do końca życia wycisnęła tak wielkie piętno na młodej, niegdyś pięknej Helenie.

Siedmioletnia Stefania była bardzo szczęśliwa, że jej tata jest w domu. Stała się bardziej pewna siebie, że ma opiekuna jak jej koleżanki w tej wsi. Wiktoria też stała się wesoła, wstawała rankiem z uśmiechem na twarzy. Codziennie długie godziny spędzali na rozmowie, w której uczestniczyła cała rodzina. Codziennie Piotr przypominał nowe epizody ze swojego pobytu w Jaworznie. Codziennie okazywał radość z powrotu do domu.

Bliźniaki i Stefania bardziej z podniesionymi głowami wychodzili na podwórze lub ulicę. Na początku Piotr nie wychodził nawet z domu, nabierał sił i częściej myślał o powrocie do swojej wsi, do swojego domu, który już był zajęty przez Gładuna Stanisława i jego wielodzietną rodzinę. Piotr nabierał pewności, że uda mu się wrócić do Żeszczynki, ponieważ dostał papier, w którym było napisane: „Może wrócić do pierwszego miejsca zamieszkania”. Kilka razy dziennie oglądał to pismo, które dostał w Jaworznie. To była nadzieja całej rodziny na powrót do swoich kątów, pól, lasów, szkoły i przyjaciół. Na myśl, że Wiktoria zobaczy swoją najlepszą koleżankę, serce zaczynało mocniej uderzać. Przez ten rok, który spędzili na obczyźnie Stefania nie posyłała do szkoły ani chłopców ani córki. Trzeba było chodzić do Ścinawy, miasteczka oddalonego około trzech kilometrów.

Wiktoria bała się wysyłać dzieci, bała się ludzi i nowych problemów. Była szkoła w Lasowicach, ale nieodremontowana po wojnie. Tam tej szczęśliwej wiosny odbyła się zabawa taneczna dla młodzieży.

Stefania z koleżankami pobiegła by posłuchać muzyki a może potańczyć przy melodiach, które echo niesło po całych Lasowicach. Szkoła znajdowała się w okolicy bardzo znajomej, zaraz za stodołą, na obrzeżu wsi, tuż przy drodze do Chelmikowa. Z tej zabawy Stefania wróciła bardzo szybko z płaczem, skarżąc się mamie, że koleżanki nie chciały z nią tańczyć, nie chciały trzymać za ręce. Dlaczego mamo? Dlaczego powtarzała, tak się zapowiadało wesoło. Mama snuła domysły, powodem tego był świerzb, którego nabyła się od swojego taty. Dziewczynka nie zdawała sprawy z tego, że ciągle dokuczało swędzenie, te ciągle drapanie zauważyły koleżanki, zauważyły czerwone bąble między palcami. Wiktoria od razu w poniedziałek z samego rana poszła do lekarza. Lekarz zalecił kurację całej rodzinie. Codziennie myć się szarym mydłem, kąpiel, zmiana bielizny i pościeli. Była to kuracja trudna i długa. Nadal dzieci ze wsi stroniły od trójki, nie chciały się spotykać ani bawić razem. Teraz rodzice byli zmuszeni zabierać swoją trójkę razem do lasu, na pole, nad wodę. Wszyscy szczylic się, że są razem. Piotrowi powracał humor. Jak dawniej, żartował, śpiewał. Potrafił zainteresować ciekawymi opowiadaniem, których źródło było niewyczerpane. Wiktoria śmiej patrzyła na świat i ludzi, którzy w nim przebywali, była uśmiechnięta i życzliwa. Zdawała sobie sprawę, że Piotr należy do zaradnych, umie zatroszczyć się o rodzinę i znajdzie rozwiązanie na wszystkie trudne problemy.

Przygotowania do powrotu

Nadal było im bardzo ciężko – mówi Wiktoria, ale najważniejsze, że mieliśmy siebie, cała rodzina razem. Był to początek roku 1948, w tym czasie o pracę nie było trudno. Piotr szybko zatrudnił się jako cieśla przy budowie mostu na Odrze, który po wojnie wymagał szybkiej naprawy. Zarobione pieniądze Wiktoria przeznaczała na kupienie ubrania całej rodzinie oraz artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. Jednak codziennie myśli całej rodziny były skierowane na powrót do rodzinnego domu. Trzeba było zebrać plony, chociaż bardzo małe w porównaniu z tymi, które były we własnym gospodarstwie. Należało tutaj sprzedać konia i to tego, którego znała już cała wieś. Ale kto kupi? Chociaż wyglądał ładnie, był tłusty, miał długie nogi, gniadą maść, głowę zawsze trzymał do góry, ale nigdy nie było wiadomo,

czy zechce ruszyć z miejsca. Piotr oznajmił znajomym i sąsiadom, że właśnie ten koń jest do sprzedania. Postanowił go sprzedać za pół ceny, aby go nie wieźć do domu. Uważał, że taki koń w gospodarstwie się nie nadaje. Pieniądze również były potrzebne na wynajęcie transportu kolejowego na przewiezienie pozostałego dobytku.

Planowali najtańszym transportem powrócić, przejechać Polskę z zachodu na wschód. Taka myśl była najbardziej radosną myślą, przysparzającą dreszczyk przechodzący do serca.

Stefcia miała rok przerwy w nauce, nie uczęszczała na ziemiach zachodnich, nawet w rękę nie miała polskiej książki. Zapomniała nawet literek, które poznała w pierwszej klasie, nie mówiąc o czytaniu. Nie zabrała ze sobą z domu żadnego podręcznika, codziennie bawiła się niemieckimi książkami, które zalegały strych. Układała je, oglądała obrazki, miały ilustracje i kolorowe okładki.

Często bawiąc się sprawiała wrażenie, że czyta. Zaczynała tęsknić za szkołą i dawnymi koleżankami. Wiedziała doskonale, że nigdy już nie będzie siedzieć w jednej ławce z Hanią Klimiuk ani też z Tereską Świętochowską, ponieważ one nie zmarnowały roku. Małe serduszek też się radowało, że spotka swoją najserdeczniejszą koleżankę - Adelę Chilimoniuk, z którą ostatni raz rozstała się na stacji PKP w Orchówku. Adela ze stacji razem z mamą i braćmi wróciła do swojego domu za protekcją swojego brata (który w tym czasie pełnił służbę wojskową).

Bardzo niespodziewanie przyszedł do domu sąsiad Czajkowski, który dotąd nigdy nie przychodził i to ze sprawą kupienia konia. Znał go bardzo dobrze, codziennie widział przedstawienie (jakie chłopcy odbywali z koniem). Piotr nawet odradzał mu kupno konia przedstawiając powyższe argumenty. Ten się uparł niesamowicie, mówiąc, że wszystko wie o tym koniu, że mu się bardzo podoba oraz ma nadzieję, że u niego będzie się zachowywał inaczej. Pan Czajkowski miał zabrać konia tuż przed wyjazdem Piotra z rodziną na Podlasie.

Przed wyjazdem chłopcy dopatrzyli w lesie drzewka owocowe, na których były dorodne owoce. Za pozwoleniem ojca postanowili całą trójką wybrać się po zbiór tych owoców. Wiktoria chciała ugotować kompotu dzieciom i najeść się do syta. Na owoce przygotowali worki, do których zbierali owoce i trochę zerwali z drzewek. Worki nie były pełne, żeby z łatwością można było załadować na wóz. Gdy już wszystko było na wozie, sami szybko wskoczyli i spokojnie przygotowywali się do odjazdu, mając na uwadze psikusy konia. Obejrzel się do tyłu a tu z zniechęcenia wysunęła się

z lasu sylwetka mężczyzny. Najpierw ruszył szybkim krokiem, potem zaczął biec w ich kierunku i machać pięścią. Chłopcy nie wiedzieli o co chodzi. Jedno wiedzieli, żeby z nim się nie spotkać, żeby odjechać jak najszybciej i jak najdalej. Głęboko w myśli mieli jedno, aby koń się nie zaciął, nawet zaczęli się głośnie modlić i bardzo łagodnym głosem rozmawiać do konia. Wiedzieli również, że takie spotkanie może oznaczać najgorsze – nawet utratę konia.

Wiedzieli przecież, że samowolnie nie oddadzą. Na wschodzie leśne owoce mógł każdy sobie zbierać a tutaj może są czyjaś własność. Julek w pozycji stojącej na wozie, trzymał w rękach mocno lejce, którymi coraz mocniej wymachiwał, widząc, że koń nabiera pędu.

Najpierw klusem, później galopem biegł jak szalony, jakby przeczuwał, że musi uciekać stąd jak najdalej. Upewniwszy się, że koń już nie zatrzyma się, Karolek też stanął na nogi i zaczął się odgrażać w kierunku nieznajomego, który zobaczywszy, że nie ma szans z koniem zrezygnował z gonitwy. Cała trójka pełna wrażeń, szczęśliwie wróciła do domu, na których już rodzice z niecierpliwością oczekiwali. To była ostatnia przygoda młodych ludzi na ziemiach zachodnich. Właściwie wszystkie myśli skierowane były już na drugą stronę Polski, piętnaście kilometrów od Buga.

Podróż do domu

Po koniu gniadym pozostały tylko wspomnienia. Piotrowi udało się załatwić wagon towarowy, który miał być doczepiony do taboru osobowego. Przez tydzień wszyscy pakowali się. Wszystko było potrzebne. Potrzebny stary kufer z domu, który trzeszczał w zawiasach od różnych pakunków i pakuneczków, przybyło wiele nowych przedmiotów, których chłopcy odkopali w ruinach niemieckiego pałacu. Wiktoria bardzo przestrzegała przed niebezpieczeństwem runięcia sterczących kominów, resztek ścian, które kołysały się podczas wichury. Odkrywali wiele skarbów, o których dużo mówiono w okolicy. Chłopcy przynosili porcelanowe naczynia, grawerowane tace i dzbany. Stanowiły im pamiątkę na długo. Wiktoria uważała, że wszystko będzie potrzebne i wszystko pakowała w pudełka. Była to druga połowa września, pogoda dopisywała w przygotowaniach do podróży. Wczesnym rankiem z radością wszyscy wynosili pakunki na podwórze. Później Piotr podstawił wóz, na którym je układano. Trzeba było dwa razy kursować, aby wszystko zabrać z domu. Drugim razem cała rodzina usiadła na wozie. Żegnali z radością te tereny chłopcy. Żegnała cała rodzina,

patrzyli ostatni raz na dom, w którym mieszkali tylko rok, zdawało się, że wieczność. Chociaż był duży, piętrowy, murowany, z wielką piwnicą i strychem, a tam czekał domek drewniany, ale nie było żalu. Żegnali wzrokiem wszystkie budowle murowane charakterystyczną dachówkę, drogi asfaltowe lub brukowane, po których przemierzili wiele kroków. Odrę i jej dorzecza, w których często się kąpali podczas wypasania krów i koni i to niebo, do którego już troszeczkę się przyzwyczaili. Jednak nade wszystko była wielka radość, która wszystko przygaszała. Przygaszały rozmyślenia o chwilach, które często przygotowywali w pamięci. Pozostawiali częstką życia i zdrowia, i jeszcze małą cząsteczką Karolka, którą Wiktoria pochowała w białym gałganku w ogródku. Piotr siedział z chłopcami na przedzie wozu, opowiadając im swoje przygody i doświadczenia. Z tyłu na pakunkach siedziała Wiktoria z córeczką. Załadowany wóz jechał bardzo wolno, musiał tak, bo krasula była do niego uciepiona. Ona też powracała do swego miejsca urodzenia. Piotr mówił, że ona zasługuje na szacunek i powrót do domu, przecież była naszą główną żywicielką. Udało się podjechać bardzo blisko torów kolejowych. Kolejarz wcześniej powiadomiony, pokierował i wskazał wagon towarowy samotnie stojący na torach, do którego wszystko się zmieściło. Piotr szybko wyłożył konia z wozu, chłopcy odcepili krowę i najpierw wprowadzili dobytek. Następnie rozłożyli wóz na części i na koniec wnieśli pozostałe pakunki, które zajmowały drugą połowę wagonu. Potem rozgościła się rodzina na paczkach. W tym czasie Stefania przypomniała małe okienko w wagonie, wysoko umieszczone, przy którym siedziała jak jechali na zachód. Teraz zajęła pierwsza miejsce i nie miała tym razem dużej konkurencji. Nagle usłyszeli zgrzyt kół i stukot wagonów. Podjechał tabor osobowy, na co wszyscy czekali, kiedy zostanie doczepiony. Pociąg podjechał tyłem w kierunku samotnie stojącego wagonu towarowego. Nagle coś trzasnęło nastał rwetes, trzaskały drzwi, ludzie rzucali się do okien, konduktorzy szybko biegali. Właśnie w tej chwili został doczepiony towarowy wagon. Jeszcze moment, wszystko sprawdzone i gotowe do odjazdu. Ostry świst rozrywał powietrze, zadygotały wagony, zastukały koła na złączach szyn. Pociąg wolno ruszał z miejsca, dając jeszcze sygnał, aby pożegnać te strony na zawsze z myślą, aby nigdy więcej tam nie wrócić. Bardzo przyjemnie było jechać i obserwować zachodnie wsie i miasta, mosty, lasy i krótkie postoje na stacjach. Ta podróż trwała około dwunastu godzin, krótka drzemka i oczekiwanie na nowe widoki, podlaskie krajobrazy, spotkanie z rodzinnym otoczeniem, miejscowością, własnym domem i obejściem. Poranek był długi, ponieważ ciemno było w wagonie, wesołe

promyki zaglądały do małego okienka, które jednocześnie przenikały serca. Stacją docelową była Biała Podlaska. Wcześniej Piotr zamówił furmankę konną, aby pomogła przewieźć bagaż i cały dobytek z PKP do wsi Żeszczynka. W Białej Podlaskiej, już czekała furmanka, podjechał szwagier Piotra Stefan. Teraz trzeba było szybko wszystko wyładować z wagonu i załadować na wozy. Jeden jeszcze trzeba zmontować. Jazda furmankami trwała ponad cztery godziny. Jechali najkrótszą drogą - przez Łomazy, Kopytnik, Stasiówkę i Żuławę. Kończyła się noc bardzo ciepła i księżycowa, zbliżał się prześwit poranku. Cała trójka siedziała na pakunkach z wytrzeszczonymi oczami wpatrując się w okolice, żeby nic nie przeoczyć. Stefcia wpatrywała się w niebo, na którym rysowały się drzewa w świetle księżyca. Te same, co przed rokiem smukłe akacje, lekko kołyszące się, jakby witały się z dawnymi sąsiadami i przyjaciółmi. Wydawało się, że wszystko się cieszy z ich powrotu, tu i ówdzie śpiewały ptaszki. Na skrzyżowaniu dróg wjeżdżając do wsi Piotr poluzował lejce koniowi, mając na myśli czy pozna dawne podwórze. Koń nie tylko poznał, sam wkręcając w podwórze przywitał się jeszcze radosnym rzeniem, przeciągłym głosem, który sprawił, że Weronice i Piotrowi po policzkach popłynęły łzy, łzy radości. Koń, takie wydawałoby się zwykle zwierzę jest też uczuciowy i pamiętliwy. Tutaj przecież przyszedł na świat, stawiał nieporadnie pierwsze kroki. W tych zaułkach podwórza uczył się brykać. Wyrósł ze źrebaka na dorosłego konia i tutaj był przez Piotra obuczony do pierwszego zaprzęgu.

Dom Horyńców był zajęty przez dziewięcioosobową rodzinę Gładunów, która poprzednio mieszkała w małym domku z jednym pokojem i kuchnią. Żał było jednych i drugich. Gładunowie spali w łóżkach a Horyńcowie na podłodze na słomie. Piotr był bardzo wyrozumiały, nigdy im nie przypominał, że mają opuścić dom. Przecież on sam go budował i jest jego własnością. Tak schodziły dnie i tygodnie. Całe gospodarstwo spakowane w tobołkach znajdowało się w sionkach od strony północnej, w których nie było nawet okna. Cała rodzina cierpliwie czekała na prawdziwe łóżko z siennikiem wypchanym pachnącą słomą i z białym zgrzebnym prześcieradłem. Czekali na pokój z oknami gdzie Stefania mogłaby odrabiać lekcje przy stole. Właściwie tego się nie spodziewali szybko, ale cierpliwie czekali na ostateczny rezultat. Bardzo trudno było Gładunom opuścić przestrzenne pokoje i wracać do zatłoczonej małej klitki. Po miesiącu lokatorzy opuścili, poszli na swoje, nie nacieszyli się długo czyjś własnością, która też Piotrowi nie przyszła tak łatwo.

Szkolne przygody

Na drugi dzień po przyjeździe zaprowadziła Wiktoria swoją córeczką do szkoły, która nadal mieściła się w budynku mieszkalnym po wysiedleniu Joachima Sołoduchy z rodziną na ziemie zachodnie. Podczas przerwy między lekcyjnej została zapisana na podstawie świadectwa otrzymanego do szkoły podstawowej w ubiegłym roku pod koniec klasy pierwszej. Teraz zajęcia prowadziła pani Stanisława Waszczuk, która z rodziną przyjechała z Lublina do siostry męża. Zaraz przy Stefanii znalazła się bardzo dobra koleżanka Adela. Obie przywitały się serdecznym uściskiem. Stefania bardzo marzyła z nią siedzieć w jednej ławce, ale tak nie mogło być, ponieważ koleżanka chodziła już do czwartej klasy. Była o jeden rok starsza i nie miała przerwy w nauce. Adela wzięła swoją koleżankę za rękę i zaprowadziła do dzieci z klasy drugiej. Tam zapoznała z nową koleżanką Bronią Chomiuk z kolonii Przechodu, z Kruszyny. Obie dziewczynki przypadły sobie do gustu. W jednej ławce razem siedziały nie tylko do końca szkoły podstawowej, ale i w Liceum w Wisznicach. Prawie codziennie po drodze wołała Stefanię do szkoły. Po zajęciach też często zostawała, aby się pobawić razem. Zostawała również koleżanka z tej samej klasy - Jasia Marciszewska. Jasia w przeciwieństwie do Bronci, która zawsze musiała wrócić do domu na czas, zostawała do wieczora. Bywało tak niemal codziennie. Późną jesienią postanowiła Jasia zaprosić swoje serdeczne koleżanki do siebie, do domu w Sapiechownie, który był oddalony około dwóch kilometrów do Żeszczynki. Najpierw poszły do sadu, w którym rosły bardzo stare jabłonie. Pod jedną jabłonią jak namiot, leżało mnóstwo dorodnych jabłek. Były to soczyste i bardzo smaczne -antonówki. Zęby wchodziły jak w śnieg posypany cukrem z cytryną. Po ukąszeniu wypływał orzeźwiający sok i jabłko ze smakiem znikało w minutę. Jabłka były bardzo wielkie. Po zjedzeniu jednego, czuło się jak po posiłku lub naturalnym aromatycznym napoju. Po spenetrowaniu sadu, dziewczynki zostały zaproszone do mieszkania. Jasi dom był też bardzo stary, drewniany, pokryty strzechą. Weszli z sionek do wielkiego pokoju, w którym były dwa drewniane łóżka. Z tego pokoju prowadziły drzwi do kuchni, w której też było jedno łóżko.

Na tym łóżku leżała kobieta, która nie próbowała nawet siadać. Na pierwszy rzut oka wyglądała na kobietę w ciąży, ciągle postępując prowadziła oczyma za dziewczynkami. Jasia wcześniej nigdy o niej nie wspominała i teraz niechętnie mówiła. Ciekawość ośmiolatków była tak

wielka, że zaczęły zadreć pytania: „czy to twoja mama? Czy będzie rodzić dziecko? Dlaczego taki duży brzuch?”. Jasia z wielkim smutkiem oznajmiła, że to jest jej mama, która choruje od roku. Wewnątrz brzucha nabiera się płyn, który co jakiś czas jest usuwany w szpitalu. Dziewczynki ze współczuciem spoglądały na Jasię i jeszcze bardziej na jej mamę, która nie może w niczym pomóc swojej córeczce. Jasią opiekował się też już chorowity tata i dużo starszy brat Józef. Od tej pory koleżanki zmieniły swój stosunek do Jasi. Były bardziej życzliwe i wyrozumiałe. Prawie codziennie dzieliły się swoimi kanapkami. Wiedziały, dlaczego Jasia tak niechętnie wraca do domu. Po lekcjach, kiedy zostawała się pobawić, częstowały najczęściej bułką z masłem. Po paru miesiącach zmarła mama Jasi. Była chora na nieuleczalną chorobę, na którą do tej pory nie znaleziono właściwego lekarstwa.

Podczas wysiedlenia na zachód, Ewa córka właściciela domu, w którym mieściła się szkoła, pozostała w domu. W tym czasie wyszła za mąż za kawalera z Bokinki Pańskiej. Oboje zajmowali drugą połowę domu. Przed wysiedleniem w tej szkole uczyła Julia Mazurkówna, która w międzyczasie też wyszła za mąż za Czyżewskiego Kazimierza i wyjechała w swoje strony. Nowa nauczycielka, Waszczuk Stanisława, też wyjechała do Lublina. Szkoła była na krótko bez nauczyciela. Uczniowie wyczekiwali codziennie nowego nauczyciela. Po niedługim czasie zjawił się rowerem nauczyciel z Romanowa - Stanisław Furman. W zimie piętnastokilometrowy odcinek drogi codziennie pokonywał pieszo. Wiosna przyszła późno. Każdy słoneczny dzień sprawiał radość dzieciom i dorosłym. Dzieci więcej czasu spędzały na dworze. Tej wiosny uczniowie szkoły przeżyli tragedię, która jak błyskawica przecinała młode serca. Pani Ewa była dzieciakom bardzo bliska, właściwie chodzili jednym podwórkiem, była życzliwa i bardzo kochała dzieci. Wszystkie dzieci wiedziały, że jest w ciąży, że wkrótce urodzi dziecko. To zdarzyło się w drugiej części szkoły, tak blisko dzieci, które nie mogły przyjąć do wiadomości. W małym pokoiku na świat przyszły bliźniaczki, dwie małe dziewczynki, które nigdy nie zobaczyły swojej mamy. Pani Ewa rodziła w domu tak jak większość kobiet w tym czasie, bez lekarza, tylko przy pomocy „babki”, która nie miała żadnych uprawnień. Trochę praktyki i to z różnym powodzeniem. Podczas porodu Ewa dostała krwotoku, który został zlekceważony przez akuszerkę. Mąż Ewy chciał przywieźć lekarza, ale ona ciągle odwlekała, tłumacząc, że wszystko się pomyślnie zakończy. Dowieziono lekarza, ale już było za późno. Ewa najspokojniejszą śmiercią odeszła od swoich upragnionych i ukochanych córeczek i męża

Michała. Nie powinna odejść, tu zawiniła lekkomyślność drugiego człowieka. Dziewczynkami zajęła się babcia, mama Ewy, która niezwłocznie przyjechała z ziem zachodnich. Po kilku miesiącach zmarła jedna z bliźniaczek. Przy życiu pozostała jedna, mała Józefa, która nie miała szczęścia być obdarzoną miłością matczyną ani ojcowską. Pan Michał powrócił do swoich rodziców i wkrótce postanowił znaleźć sobie żonę. Po niedługim czasie, pojechał na ziemię odzyskane i przywiózł sobie drugą żonę. Ojciec nie utrzymywał kontaktu ze swoją córką z pierwszego małżeństwa. Druga żona urodziła mu syna i dwie córki. Michał przez wiele pracował jako stróż w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej.

Nowi nauczyciele i nowe plany

W tym czasie obowiązki woźnego w Szkole Podstawowej w Żeszczynce pełnił Stanisław Kwas, który był zupełnym analfabetą. Nie wiadomo było, z jakiej rodziny pochodził i skąd przyszedł. Pomawiali, że był cyganem. Do skręcania papierosów często sięgał po papiery leżące na stoliku nauczycielskim lub szafie kancelaryjnej, która była bez zamknięcia. Zdażało się, że sięgał po kartki do ksiąg ocen lub kroniki szkolnej.

W 1948/49r. w Szkole w Żeszczynce nauczycielem był Stanisław Furman dojeżdżający z Romanowa. Na jednym z zebrań rodzicielskich zaproponował rodzicom budowę nowej szkoły. Ten pomysł wszystkim bardzo się spodobał. Wybrano komitet budowy szkoły. Mieszkańcy wsi zobowiązali się dać po jednej sośnie i 500zł. w gotówce. Do komitetu budowy szkoły należeli ci sami co do Komitetu Rodzicielskiego:

1. Wroński Grzegorz
2. Bryndziuk Stefan
3. Najdyhor Franciszek
4. Wroński Wacław
5. Łogonowicz Jan
6. Kukawski Stefan
7. Kałabunowski Jan
8. Zdolski Stanisław

Plan szkoły sporządził nauczyciel Stanisław Furman, wzorując się na budynku szkolnym w Romanowie. Na pierwszym piętrze zaplanowano domy mieszkalne nauczycielom. Jesienią 1949r stanął budynek szkolny, bez wykończenia jego wnętrza, ponieważ nie było w kasie pieniędzy.

W roku 1950 zaplanowano budowę szkoły murowanej w Motwicy. Mieszkańcy całej gminy w ramach czynu społecznego pomagali zwozić cegłę na tą szkołę. Niektórzy gospodarze z Żeszczynki jeździli po cegłę i zamiast wieźć do Motwicy wieźli pod szkołę do Żeszczynki, która była bardzo przydatna na wykonanie podmurówki i schodów.



Na początku r. szkolnego 1949/50 nauczyciel, Furman Stanisław powrócił do pracy w Szkole Podstawowej w Romanowie. Po jego odejściu

wkrótce przyszło małżeństwo, Sabina i Jan Jaroszewiczowie, którzy wiele trudu i własnej pracy włożyli w przygotowanie budynku do nauki. Pan Jaroszewicz, jako kierownik placówki szkolnej w Żeszczynce, potrafił zachęcić do pracy rodziców i dzieci przy wykończeniu sal. Uczniowie którzy ukończyli czwartą klasę kontynuowali dalszą naukę w Przechodzie lub w Wisznicach. Stefania wraz z koleżankami i kolegami chodziła do Przechodu oddalonego o trzy kilometry. Ten odcinek drogi pokonywali codziennie: Bronisława Chomiuk, Adella Chilimoniuk, Janina Lewczuk, Anna Kuryło, córka Jana Kuryły, Krystyna Zdolska, Edward Tuszyński, Janina Marciszewska, Waldek i Janek Najdyhoń, Janusz i Leszek Świętochowski. Nikt z tej szajki nie posiadał roweru, na taki rarytas nie było stać rodziców. Podróż do szkoły to był horror, szczególnie dziewczynkom. Chłopcy niemal codziennie bili dziewczynki, popychali, zasypywali śniegiem, rzucali śnieżkami, potrafili wykopywać łąno końskie w kierunku dziewcząt, które zawsze zmuszone były iść przodem.

W roku szkolnym 1952/53 został podniesiony stopień organizacyjny szkoły w Żeszczynce do pięciu klas, a na następny rok do sześciu klas Szkoły Podstawowej. W roku 1959/60 stopień organizacyjny podniesiono do siedmiu klas. Była to wówczas pełna Szkoła Podstawowa. Przydzielone zostały przez władze szkolne nowe siły, (młodzi nauczyciele). Oprócz państwa Jaroszewiczów uczyli:

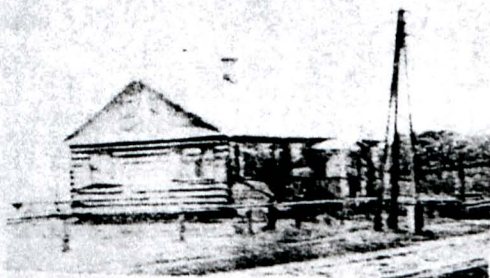
1. Filipiuk Karolina
2. Skwarek Wacława
3. Welik Bronisława
4. Petruczynek Helena,
5. Szkodzińska Eulalia



Kierownik Szkoły Podstawowej Jan Jaroszewicz ze swoimi wychowankami. Rok 1958 oraz pani nauczycielka Skwarek Wacława

Wieś Żeszczynka jak i szkoła została po raz pierwszy wówczas objęta siecią kina objazdowego. Szkoła skupiała w swoich ścianach całe życie kulturalno-społeczne wsi i całego obwodu szkolnego. Tu odbywały się uroczystości szkolne, przedstawienia teatralne, wieczorki pieśni i tańca. W salach szkolnych odbywały się bale dla rodziców i nauczycieli, oraz zebrania wiejskie. Na tym cierpiał sprzęt szkolny oraz były większe trudności z utrzymaniem czystości. Woźnym był Jan Szołucha, który objął to stanowisko po Stanisławie Kwasie. Nauczyciele docenili troskę wsi, żyli jej zagadnieniem, służyli pomocą na każdym odcinku pracy. Szkoła stanowiła główny ośrodek życia kulturalnego. Zapłatą była pomoc, zrozumienie i poparcie przez społeczeństwo grona nauczycielskiego i kierownictwa szkoły w różnych działaniach.

Rok
1959 — 1960



Na lewo dom
Sołtysa. Tuż obok
z domem Leży się
drzwi do roku 1952,
a do 1956 mieszkał
kierownik szkoły.

Tak wygląda bu-
dynek zbudowany
cynkami spofecznymi
oni, onale w i on
lansy i walcie
1959 r.



Wojna, później akcja wysiedleńcza ludności wpłynęła na szerzenie się w wielkim stopniu analfabetyzmu wśród dorosłych. Wówczas Rada Pedagogiczna podjęła uchwałę zorganizowania wieczorowego nauczania dorosłych w celu ukończenia szkoły podstawowej. Podczas takiego nauczania świadectwo ukończenia szkoły otrzymali:

1. Chotyniec Kazimierz
2. Falkowski Władysław
3. Sacharczuk Mieczysław
4. Łogonowicz Jan
5. Szołucha Zofia
6. Sozoniuk Henryk z Przechodu
7. Panasiewicz Paweł
8. Szołucha Jan s. Jana
9. Kukawski Stefan
10. Potapiuk Stefan
11. Gulewski Stefan
12. Juchimiuk Henryk
13. Bielecki Jan
14. Samojluk Jan
15. Chilczuk Władysław

Aby podnieść poziom wychowawczy wśród dzieci i lepiej przygotować do szkoły, zorganizowano ognisko przedszkolne dla dzieci w wieku 3-5 lat pod opieką doświadczonego nauczyciela. Rodzice chętnie posyłali swoje dzieci, zadowoleni, że ich pociechy poznają kulturalne nawyki oraz wdrażają się do życia szkolnego. Nauczyciele bardzo dbali o wysoki poziom nauczania i wychowania, kosztem własnego czasu i własnej rodziny. Na zajęciach pozalekcyjnych i pozaszkolnych wdrażali patriotyzm, wrażliwość na drugiego człowieka, kulturę oraz poznawali przyrodę i ojczyznę. Organizowali co roku kilka wycieczek autokarowych i rowerowych. Był to okres nasilenia świeckości szkoły. Dzieci nie uczyły się religii, w miejsce modlitwy były organizowane apele szkolne.

W roku szkolnym 1962/63 przeprowadzono reformę szkolną, w ramach, której władze wprowadziły po raz pierwszy 8-klasową Szkołę Podstawową.

Zajęcia domowników

Po opuszczeniu domu przez rodzinę Gładunów, wszyscy poczuli się swobodnie tak jak naprawdę na swoim. Stefania chodziła do szkoły, która była jej drugim domem. Nauka jej szła bardzo dobrze w porównaniu z bliźniakami. Odrabiała lekcje, czytała książki, zabawa lalkami i koleżankami na podwórzu. Te zajęcia miały wielkie znaczenie w jej życiu. Bliźniacy nie lubili szkoły, a już w ogóle odrabiania lekcji. Tata ich posyłał do pracy w gospodarstwie. Chłopcy pomagali we wszystkich pracach bardzo chętnie. Ojciec uczył ich orać pługiem dwuskbowym ciągnionymi przez parę koni, bronować pole, sprzężnować, siał, kosić kosą, zwozić siano i zboże z pola, układać na wozie i w zastronku. Teraz Wiktorii było znacznie lżej, chociaż roboty w domu nie brakowało. Najczęściej zajmowała się pracą w ogródku i domu. Bardzo dużo energii zużywała na utrzymanie czystości. Podłogi były nie malowane, musiała wodę odmoczyć starą miotłą, wydrapać grubą warstwę naniesionego przez domowników błota, które mocno przylegało do drewnianych desek. Łatwiej było z kuchnią, w której była ubita posadzka z gliny i nie trzeba było myć, tylko miotłą zamieść i posypać piaskiem żółtym, który odświeżał kuchnię. W tym domu mieszkała babcia Marta, matka Piotra. Razem była na ziemiach zachodnich i dalej do nich wróciła, z nimi mieszkała mimo, że w tej samej wsi mieszkała córka. Na ziemiach zachodnich mała Stefcia prowadziła swoją babcię za rękę po podwórzu, tutaj wszystko było znajome. Sama wychodziła po obejściu, znała każdą ścieżkę przy domu, każdy płotek czy furtkę. Wszyscy dziwili się babci słysząc w nocy furgotanie koła kołowrotka, na którym przedła nici z lnu i konopi. Wiktorii z tych nici tkła materiał na koszule, prześcieradła, worki i dywany. Były to plecionki, pasiaki i wybieranki. Wątek z lnianych nici, a osnowa z nici wełnianych, wcześniej farbowanych. Wiktorii miała nadal pełne ręce roboty w lecie i w zimie. Rozbrykana często obrywała od rodziców za dokuczanie babci niewidomej. Właściwie dziewczynka nie zdawała z tego sprawy, traktowała to jako zabawę. Gdy babcia przedła lub odpoczywała, głośno bawiła się z koleżankami. W tym czasie bawiła się w berka, ciuciubabkę, chowanego. Babcia zawsze się skarżyła na ból głowy, a szum i hałas jeszcze bardziej go potęgował. Najpierw prosiła o spokój, potem brała swoją kądziałkę do ręki i wymachiwała w jedną i drugą stronę idąc środkiem mieszkania. Takie zachowanie babci jeszcze bardziej bawiło dziewczynki. Chowały się pod stół, ławę, która zajmowała czołowe miejsce w alkierzu. Wchodziły nawet pod łóżko w razie niebezpieczeństwa. Przy tym

było dużo szumu, śmiechu i hałasu do chwili przybycia rodziców Stefci. Uspokajali, tłumacząc jaką krzywdę w ten sposób wyrządzają babci. Aby babcia mogła prząść nici, synowa Wiktoria musiała wcześniej przygotować przędze. Siłał modry len na polu, razem z córeczką plewiła ziele, potem gdy dojrzał należało go wrywać i powiązać w małe snopki. Po wyschnięciu, drewnianym praczem wybijala siemię lniane, z którego wyciskano olej w olejarni w Wisznicach. Potem ścielono na łąkach i moczono w wodzie. W ten sposób zmiękły paździerze i szybciej odchodziły podczas łamania i klepania. Paździerze mocno się trzymały przędzy, należało je mocno wyklepać, zwinąć w pukiele. Następnie te zawiniątka jeszcze wyczesać dużym drewnianym grzebieniem i specjalną szczotką na gładką jednolitą przędze, którą babcia przędła.

Przemiany społeczno – gospodarcze w Żeszczynce

Tuż po wojnie, władze państwowe poprzez wojewódzkie i powiatowe miały zadanie zamienić gospodarstwa indywidualne na spółdzielnie produkcyjne, udowadniając wyższość produkcji i pracy zespołowej. Jesienią, 1950 roku, została założona, w Żeszczynce spółdzielnia produkcyjna, której przewodniczącym był Stefan Bryńdziuk (mieszkał w tym domu, co obecnie mieszka Mieczysława Dokudowicz). Wcześniej, bo w 1948 roku powstaje podstawowa organizacja partyjna w Żeszczynce, której przewodniczącym był Kukawski Stefan.

W pierwszych miesiącach istnienia R.S.P. należało jedenaście członków. Do zarządu należeli: Bryńdziuk Stefan, Kukawski Stefan, Kuryło Jan, Karpiuk Jan oraz Stefan Potapiuk. Członkowie Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej pracują szczególnie na ziemi ludności wysiedlonej na ziemi odzyskane z małym wkładem swojego gruntu. Członkowie ich zabierają budynki gospodarcze i tam składają swoje zbiory. W tym okresie zostały zabrane następującym gospodarzom do użytku R.S.P.:

1. Galczuk Michał - stodoła
 2. Sołoducha Joachim - stodoła
 3. Sidoruk Maciej – stodoła i obora
 4. Halczuk Paweł – obora
 5. Litwiniuk Antoni – stodoła i komplet bali na mieszkanie
 6. Hołowieniec Jan – stodoła i spichlerz
 7. Skrzyński Andrzej – stodoła i obora
- Realizowano Hasło „Każdy członek P.Z.P.R. zwerbuje do Spółdzielni

Produkcyjnej jedną rodzinę. W tym czasie nakładano wysokie wymiary obowiązkowych dostaw zboża tak, żeby zmusić rolnika do wstąpienia do R.S.P. Obowiązkowe wymiary były tak duże, że rolnik gdyby wszystko oddał, całe plony, też by nie wystarczyło. Tak też było w gospodarstwie Piotra Horyńca. Dostał nakaz dostawy zboża, w takim wymiarze, że tyle nie zebrał z całego gospodarstwa rolnego. Zawiózł do punktu skupu wszystko zboże, zostawił tylko na chleb swojej rodzinie. Milicja chodziła po spichlerzach sprawdzać, zobaczyła w zasieku u Piotra trochę zboża i osadziła w areszcie we Włodawie do czasu całkowitego wywiązania się z obowiązkowych dostaw. Wówczas Wiktoria postanowiła pójść do Jana Kuryły, który w tym czasie był posłem do Sejmu i prosząc go, właściwie błagając o zwolnienie męża z aresztu. Poseł zaproponował najlepsze rozwiązanie: wstąpienie do R.S.P., oddanie całego dobytku, sprzętu i ziemi. Podczas tej wizyty była poniżona i zlekceważona, ze względu, że śmie jeszcze nie przyjąć bardzo dobrej propozycji posła. Wówczas powiedział, że nadejdzie taki czas, że będzie go całowała nie tylko w ręce, ale i w nogi, żeby przyjąć do Spółdzielni Produkcyjnej, ale już będzie za późno. Wiktoria wróciła do domu z niczym, była załamana, nie spodziewała się, że po wojnie będzie lepiej, a tu nowa władza wyrządziła jej rodzinie taką krzywdę.

Wspólnie z synami zdecydowała: Julek pojedzie w województwo olsztyńskie i tam zakupi zboże od rolników, dostarczy do punktu skupu, otrzyma kwit dostawy, na podstawie którego uwolni męża z aresztu. Od znajomych dowiedziała się, że tam zboże jest tańsze. Tak też się stało. Od sąsiadów pożyczyła pieniądze i wysłała Julka w podróż. Jechał pociągiem, potem jeszcze autobusem na jarmark, na którym zakupił odpowiednią ilość zboża od rolników, którzy od razu mu zawieźli do Punktu Skupu, za to otrzymując kwit dostawy. Pomyślnie udało się załatwić sprawę, przywożąc odpowiednie papiery na podstawie których został zwolniony Piotr z aresztu. Takie były początki władzy P.R.L. i taka była polityka po wojnie, którą odczuło wiele rolników w Polsce, a przykładem była nie jedna rodzina w Żeszczynce.

Perypetie miłosne

Rok szkolny 1953/54 był rokiem trudnym uczniom kl. VII w Żeszczynce i okolicznych wiosek (Sapiechowa, Lipinek, Kalichowszczyzny), która znowu zmuszona była chodzić do szkoły do Wisznic. Część uczniów dojeżdżała do Wisznic oddalonych o siedem kilometrów, aby kontynuować naukę w LO.

Stefania i jej koleżanki chodziły do Przechodu. Po jej ukończeniu część uczniów poszła do L.O. w Wisznicach. Mury tej szkoły zaszczyliły: Stefania, Bronia i Edzio Tuszyński. Wiele uczniów uczęszczało z Żeszczynki, ale do klas starszych z którymi przyjaźnili się i codziennie pokonywali rowerem kawałek drogi. Wijącą się ścieżkę, po której dwa koła grały w berka robiąc uniki raz w jedną raz w drugą stronę po wyboistych i pełnych zakrętów polnych drogach. Po obu stronach rosły graby i olchy tuląc swoje konary i szepcząc czułe słówka, nie przeszkadzając nikomu. Z dala od drogi było jedno zabudowanie pana Tytusa, którego synowie byli w mieście. W dzień słoneczny, drzewa rosnące nad drogą przygarniały pod złociste parasole z cienistym i orzeźwiającym powietrzem idącym od pól i łąk. Rozkosznie rosnące drzewa i ich ciemnozielone falbany zasłaniały zmagających się młodych ludzi z błotnistą a niekiedy znów piaszczystą drogę wijącą się z dala od ludzkich zabudowań. Bardzo często młodzi podróżni odpoczywali pod ich zacisznymi baldachimami. Można było porozmawiać na różne tematy, lub przemyśleć w tajemnicy wiele spraw. Stefcia często zapominała o własnych uczuciach i potrzebach, fascynując się czystym powietrzem płynącym z łąk i pól i błękitnej niebiańskiej przestrzeni. Zauroczona i pochłonięta duszą i ciałem boską przyrodą o pięknym obliczu z wieńcem z białych rumianków lub błękitnych kwiatów lnu, w przezroczystej pajęczej szacie utkanego z babiego lata, unoszącym się nad fioletowym fartuszkim jesieni z rdzawym ścierniskiem końcowego lata. Nieujarzmiony wzrok pędził wolną przestrzenią do lasów i dalej do chmur pędzących jak nieujeżdżone konie lub szare gołębie przysłaniające niebiański błękit, których urok dodawał smaku do życia, o każdej porze roku. Jej świat był cudowną pieśnią przy nieznaney muzyce przyrody. Miała swoje wielkie tajemnice, których do końca nie ujawniła. Wiedziała, że serce jest przepełnione wielką miłością do otaczającego świata i do ludzi w nim żyjących. Dodawało to jej skrzydeł, aby ulecieć w nową nieznaną i pełną tajemnic przyszłość. Nawet nie zdradzała swoim najlepszym przyjaciółkom o osobistych pragnieniach i marzeniach głęboko w sercu ukrytych. Swoboda marzeń roztaczała coraz większe kręgi, a najbardziej porywała w wieczór przepełnionym koncertem żabich dźwięków dochodzących z pobliskiej sadzawki u Derlikiewicza, zarośniętej częściowo tatarakiem lub rowu po brzegi wypełnionym oniemiałą wodą.

W ziemie prawie wszystkie dzieciaki a właściwie młodzież mieszkała na stancjach. Myśli były ograniczone zaspami śniegowymi i gosposiami,

które pilnowały codziennych zajęć licealistów. Każdy początek wiosny pobudzał do życia przyrodę i każde młode życie. Jakaś dziwna tęsknota za nieznaną miłością ogarnęła młode serca.

Był koniec marca, Stefania po długich zajęciach szkolnych sama wracała rowerem ze szkoły, aleją zakochanych topoli i bardzo bojaźliwych grabów. Słysząc było ich szept w bezwietrznym popołudniu. Wiosenny powiew dodawał im odwagi do kołysania w muzyce marzeń. Ten powiew pieścił plecy Stefanii, dodawał sił i nadzieję w realizacji ich w czasie i przestrzeni. Codziennie pokonywane wielogarbne i kręte ścieżki schodziły w dolinę na której rozpościerała się rodzinna wieś. Stefania pozostawiła aleje zakochanej przyrody. Zaraz przy pierwszym domostwie, kierownica roweru wyskoczyła z rąk i koło nagle stanęło w poprzek w jednym z garbów. Jednocześnie wielki strzał wprawił w oszłomienie. To wystrzeliła dętka w przednim kole roweru. Stała bezradnie oglądając się dookoła, rozważając możliwe wyjście z trudnej sytuacji. Czy zostawić rower, czy ciągnąć go do domu oddalonego ponad kilometr, jednocześnie przyglądając się flakowatej oponie. Nagle przed oczami pojawił się nieznajomy mężczyzna, wysoki, przystojny, w jego oczach jaśniało spojrzenie anielskie. Bez żadnych słów wiedział, o co chodzi i od razu zaoferował pomoc, wpatrując się w jej ciemne oczy. Pomoc polegała na zamianie koła od jego roweru. Stefania bezradnie spoglądała jak na dobrego duszka widząc w nim swego przyjaciela. Usiadła zmęczona pod płotem na trawie, wśród kwitnących dziewann czekając na zakończenie roboty. Gdy rower był gotowy, podziękowała, jednocześnie chciała zabrać, swoje koło do naprawy. Była bardzo zaskoczona, gdy oznajmił, że sam to naprawi. Stanowczo zapowiedział - jutro będzie gotowy.

Rodzicom w domu opowiedziała, jaką miała przygodę, jednocześnie coś niecoś dowiadując się o nim. Mieszkał z chorowitym ojcem, z którym przed paroma miesiącami przyjechał z ziem odzyskanych. Matka jego zmarła bardzo młodo na suchoty. Z zawodu był rolnikiem i dodatkowo szewcem. Jego dość wysoka i zgrabna sylwetka oraz kwiecista mowa urzekła każdego, kto miał możliwość w życiu go spotkać. Ludzie pomawiali, ten chłopiec to jak doński kozak, nie jedną dziewczynę uwiódł i nie jedną jeszcze uwiedzie. Stefania na takie powiedzenie nie odpowiadała.

Wzrok jej daleko błdził szukając potwierdzenia albo odpowiedzi. Myśl podążała za wzrokiem nie przyjmując do wiadomości żadnych pomówień. Chyba już była zakochana. Coraz częściej jej myśli fruwały daleko i wysoko nad szkołą i książkami, które z każdym dniem schodziły na

dalszy plan. Codziennie, gdy wracała ze szkoły, on czekał na nią w swoim małym ogródku, krzątając się przy starych drzewach owocowych. Wiosenna szata drzew dodawała im odwagi i wzajemnego szczęścia. On wpatrywał się w jej nieśmiałe spojrzenie, czytając jednocześnie w nich jej stosunek do siebie. Ciemnymi oczami - zdawało się, że pożera nie tylko jej oczy, ale i ją samą. Spostrzegał każdą falbankę, zakładkę jej sukni i dotykał jej długiego warkocza.

Przemiłym głosem mówił, że to on czekał na nią tyle lat, jakby jego serce przeczuwało, że tutaj spotka kogoś, kogo pokocha na całe życie. Był dużo lat od niej starszy, umiał omotać swoją nową zdobycz sprawiając wrażenie, że to co mówi jest najprawdziwszą prawdą w świecie. Dodatkowo od niego manowała wielka zazdrość. Od tej pory nie pozwalał jej nawet spojrzeć na nikogo, nie mówiąc już o jakiegokolwiek rozmowie z kolegami z jej wieku. Zabierał Stefanię na długie letnie spacerunki po drózkach przy ścianie tajemniczej leszczyny, rozradowanej uśmiechem złocistego księżycy. Stefania była bardzo zauroczona tym zjawiającym się nagle czarodziejem. Omotywana była mocniej z dnia na dzień, czuła się jak w jedwabistym kokonie. Zabierał ją na prywatki wiejskie. We wsi mówiono, że to szlachta robi potańcówki, kiedy innym razem robili młodzi zwykli chłopcy, synowie rolników. Odtąd czuła się jak księżniczka z bajki, otaczana była wielką troską i przyjaźnią, o czym inne dziewczęta nie miały nawet pojęcia.

Późną jesienią, na ostatki przed adwentem starsza młodzież „Szlachta” zorganizowała potańcówkę u jednego w domu, a było to u Sołoduchy, którego syn studiował historię. Parę lat później uczył w L.O. w Wisznicach. Następnie był dyrektorem tej szkoły po odejściu na emeryturę, byłego dyrektora Władysława Zawadzkiego. Mieszkał on na drugim końcu wsi, przez którą droga prowadziła bardzo błotna i mokra. Ciemnica, deszcz i wiatr smagały po twarzy i nogach, które niemal były gołe. Pierwszy raz Stefania nałożyła stylonki. Mama też dbała, aby jej córeczka nie wyglądała gorzej od innych dziewcząt. Swoje futerko, która już dawno nie nosiła, przerobiła na futerko o zupełnie innym stylu dla córeczki. Stefania dumna była z niego, było lekkie i ciepłe, takiego nikt nie nosił.

Michał w drodze tulił, chronił jak mógł, czasami pod pachę mocno chwytal i przenosił przez kałużę, aby jej nowe stylonki nie zostały, zabłocone błotem. On zawsze dążył, aby wszystko dobrze wyglądało i to w każdym calu. Wiedział dobrze, wszyscy będą oglądać z każdej strony jego nową dziewczynę, nie mógł pozwolić sobie, że coś można by było zarzucić. Po wejściu do mieszkania, delikatnie szepnął jej na ucho, zaczekajmy,

przygotujmy się do wejścia. Bardzo szarmancko zdjął jej futerko, wełniany berecik, rzucił spojrzenie, jeden raz i drugi na nogi, które były trochę obłocone. Poczekajmy - powiedział w kuchni i delikatnie szepcząc do ucha, że musi je uprać. Stefania nie zdążyła jeszcze przemyśleć, jak on zaczął nalegać, żeby odpięła żabki, on dyskretnie je upierze. Stefania obejrzała się w tą i drugą stronę, on przykucnął osłoniwszy ją, zaczęła nieśmiało spoglądając czy nikt nie obserwuje, przecież nie mogła mu się oprzeć. On z wielkim namaszczeniem i bardzo delikatnie zaczął zdejmować wielkimi dłońmi z jej nóżek, najpierw jedną, później drugą stylonkę. Jego wielkie, gorące i mocne dłonie, starały się to zrobić bardzo delikatnie. Okalały niemal dookoła kolanka, miłym dotykiem zostały zdjęte i wrzucone do miednicy, w której była woda i mydło. Michał bardzo sprytnie wykonał tą pracę. Miał chyba wprawę w samodzielnym praniu. Następnie bardzo dyskretnie odsączył z wody w ręczniku i przyniósł do ich właścicielki. Niektórzy obserwatorzy zaniemówili z wrażenia, co dalej będzie. On nie zważając na obserwatorów delikatnie nakładał na stopy Stefanii, ona sama dalej podniosła, dalej zaczęła do żabek. Z przymkniętymi oczami umocowała je do podwiązek, pod ciągłym wrażeniem miłego dotyku, którego nigdy nie doznawała. Ciągłe odczuwała jego dłonie i widziała wielką powagę na jego twarzy, robił to bardzo delikatnie, nie zważając, że mężczyźnie może nie wypada.

Naciągnął tylko do kolanek, gładkich, trochę różowych i chłodnych. Ten ceremoniał, chyba był przyjemniejszy od tańców i innych zabaw towarzyskich. To było zapowiedzią na chłopca odpowiedzialnego i opiekuńczego, w każdym calu dżentelmena. Rodzice w nim widzieli odpowiedniego kandydata na męża dla Stefci.

Niekiedy los płata figla, jest wrażenie, że wszystko wali się na głowę, po pewnym czasie dochodzimy, że to, było tylko zauroczeniem, chwilami życie jest trudnym doświadczeniem dobra i zła, jednocześnie jest przeznaczeniem. Wiktoria wierzyła w przeznaczenia. Wróżka jej wywróżyła, że córka spotkała bardzo złego człowieka, przy boku którego nie byłaby szczęśliwa, nawet przepowiadała szybką jej śmierć. Stefania udawała, że bagatelizuje jej przepowiednie, przyszłość pokazała prawdziwe oblicze życia i szczęścia. Nie był on jej przeznaczeniem, tęskniła właściwie za innym życiem, jakie czekało jeszcze bliżej. Młodzieńcze porywy zaczęły się zmieniać w bardziej przemyślane, poważne i rozsądne postępowanie.

Chyba przeznaczenie

Perypetie miłosne zostawiła daleko za sobą i jako bardziej dorosła opuściła dom rodzinny i wyjechała do miasta, aby uciec od fałszywych przyjaciół, od ludzi, którzy zawsze lubili o każdym mówić. Jednak od swego przeznaczenia, jak później mówiła, uciec nie można. Tam dostała pracę w sekretariacie w P.S.S., później w księgowości i jednocześnie się doksztalała dojeżdżając do Lublina.

Pewnego razu Stefania miała dziwny sen, opowiadała go rodzicom i znajomym. Śnił się jej dom rodzinny, w którym na środku pokoju leżała zmarła przed paru laty babcia Matrona. Stefania chciała odmówić zdrowaśkę, nagle zauważyła, że babcia podnosi się i siada. Wielkie przerażenie i strach przeszył ją całą. Po chwili zmarła zaczęła wstawać i kierować kroki w jej stronę, Stefania wymknęła się z pokoju i oglądając się zauważyła, że kieruje się w jej stronę. Wybiegła z mieszkania, babcia za nią, Stefania przebiegła drogę, aby skryć się u sąsiadów, babcia za nią, więc ona za stodołami biegła łąkami wśród zbóż i ukwieconego pachnącego pola. Biegła bez wytchnienia, oglądając się za siebie i ciągle widząc goniącą babcię. Postanowiła schować się w domu, który jej się wydał bardzo przyjazny. Właśnie tam skryła się na całe życie. Jeszcze za życia babcia marzyła, aby jej wnuczka poślubiła Janka Łoziewiczza. Spełniły się babci oczekiwania, przecież sama zapędziła tam własną wnuczkę. Co chcecie to myślcie. Stefania zawsze uważała, że należy wierzyć w sny, bo jej się chyba zawsze sprawdzały.

Huczne wesele odbyło się w październiku, w piękną niedzielę, przeplatana babim latem z upinanymi barwnymi listkami, co przepowiadało długie i szczęśliwe życie. W przeddzień, w sobotę odbyło się wesele jej brata Julka. Przygotowania poczynano od razu na dwa wesela. Rodzice postanowili, że jako starszy syn, niech jego ślub będzie w sobotę, a młodszej córki w następnym dniu w niedzielę. Stefania z domu poszła za synową. Na jej miejsce przyszła żona Julka. W domu Horyńców były dwie synowe, żona Karolka i Julka.

Po ślubie Stefania nadal pracowała we Włodawie. Jej mąż miał dużo pracy w Żeszczynce w budownictwie. Po miesiącu, jak grom z nieba przyleciał, przyjechała koleżanka Helena Petruczynek z Żeszczynki z propozycją do pracy w Żeszczynce w Szkole Podstawowej, jako nauczycielka. Różne były marzenia w życiu, ale nigdy nie przyszło do głowy o pracy pedagoga i wychowawcy. Wcześniej nowoprzybyła nauczycielka po paru dniach pracy uciekła i już nie powróciła. Na nic się zdały oczekiwania.

Stefania miała się zastanowić i dać odpowiedź dwa dni. Przecież nie mogła inaczej postąpić, tam był jej mąż i jej rodzina, za którą codziennie tęskniła. Myślała w skryciu - takie pewnie jest przeznaczenie. Pracowali tam Państwo Jaroszewiczowie, którzy kiedyś jeszcze ją uczyli, bardzo mili i wyrozumiali nauczyciele, wprowadzili w tok pracy pedagogicznej. Po kilku hospitacjach pan kierownik stwierdził: jesteś urodzoną nauczycielką i wychowawcą. Ostro Stefania wzięła się za doksztalcanie. Najpierw Studium Pedagogiczne, potem studia Wychowania plastycznego w Lublinie, następnie Wyższe Zawodowe o kierunku technicznym w Warszawie. Wśród zawsze życzliwego grona pedagogicznego minęła większa część życia jak w bajce. Trzydzieści sześć lat nienagannej pracy w tym piętnaście lat na stanowisku kierowniczym w szkole Podstawowej w Żeszczynce, we wsi w której się urodziła spędziła dzieciństwo i wyrosła na dojrzałą kobietę, we wsi, w której spędziła swoje młode lata i poświęciła całą swoją energię dla dobra dzieci i społeczeństwa, całym sercem wnurzając się w rytm tej pracy, pragnąc dobra i szczęścia młodego pokolenia.



Bibliografia

1. „W Sapiehowie” – Andrzej Płomacki, linia kodeńska, W-wa 1996r.
2. „Akcja Wisła” – Eugeniusz Misiło, archiwum ukraińskie, W-wa 1993r.
3. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego” – wydany pod redakcją: Bronisława Chlebowskiego i Władysława Wawelskiego, 1888r.
4. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów” - wydany pod redakcją: Bronisława Chlebowskiego i Władysława Wawelskiego wg planów Filipa Sulimierskiego w 1889r.
5. „Rocznik Bialsko-Podlaski” tom II z 1994r.” – wydany: Biblioteka Wojewódzka i Miejska
6. „Wisznice – zarys dziejów” – Tomasza Demidowicza
7. „Z przeszłości Wisznic” – artykuł ze Słowa Podlasia
8. „Wisznice i okolice” – Bronisław Seniuk
9. „Narodowe siły zbrojne na Podlasiu w walce z systemem komunistycznym w latach 1944 – 1952” tom II – pod redakcją Mariusza Bechty, Leszka Żebrowskiego
10. Kroniki Szkoły Podstawowej w Żeszczynce od 1926r.

Errata

Str .	Wers	Jest	Powinno być	uwagi
5	11 od d.	Sopiepana	Sobiepana	
6	10 od g.	który	które	
9	3 od g.	Koniu	Kodniu	
9	7 od g.	za wiarę	za wierną	
14	9 od g.	Wisznic	Wisznice	
16	4 od g.	Sapiechów	Sapiehów	
17	14 od d.	wyścigowała,	wyścigował	(bez przecinka)
23	1 od d.	chusteczka	chusteczkę	
34	3 od g.	250 m	250	bez m
42	4 od g.	mazutykową	mazurykową	
46	11 od d.	serce, każdej	serce każdej	Bez przecinka
46	10 od d.	osiemdziesiąco letnia	osiemdziesięcioletnia	(razem)
47	4 od d.	Kotwicy	Motwicy	
49	6 od d.	Do Białej Podlaski	W Białej Podlaskiej	
69	17 od d.	na razie	narazie	
76	4 od d.	Wiktoria	Stefania	
76	2 od d.	Stefania	Wiktoria	
81	18 od g.	Weronice	Wiktorii	
84	7 od g.	niedługi	niedługim	
90	10 od d.	Rozbrykana często	Rozbrykana Stefcia często	
99	1 od g.	Płomacki	Tłomacki	

ID
Log

ISBN 83-294156-8-1